Nr. LVIII Styczeń 1938

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

Nr. LVIII Styczeń 1938

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

TREŚĆ:

Na drodze do kanonizacji Królowej Jadwigi

Dalszy, bardzo poważny krok naprzód w tej sprawie możemy zanotować, o którym doniosła już zresztą prasa codzienna.

J. E. ks. Metropolita Sapieha zamianował głównym postulatorem procesu beatyfikacyjnego O. Wojciecha Topolińskiego, zajmującego wybitne stanowisko w zakonie Franciszkańskim w Rzymie. Bezpośrednie prace przygotowawcze do rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego zostały w ten sposób już podjęte.

Nadto zawiązał się w Rzymie Komitet pań polskich dla zajęcia się na miejscu poparciem i propagandą tej doniosłej sprawy także i ze świeckiej strony.

Nie trudno domyśleć się uczuć radości, jakie przejmować muszą nasz Komitet, który sześć lat temu, w marcu 1932 roku zawiązał się w pierwotnej swej postaci i właśnie na łamach „Naszej Przyszłości" podjął pierwszą, konsekwentną akcję publicystyczną w tej wielkiej i trudnej sprawie. Wkrótce potem wystąpił, jak wiadomo, także i z akcją czynną, która, dzięki żywemu oddźwiękowi, jaki znalazła wśród Episkopatu i szerokich sfer polskiego społeczeństwa — doprowadziła w szybkiem tempie do wspaniałych, kolejnych uroczystości w Krakowie, Warszawie, Wilnie i wreszcie do olbrzymiego zjazdu w Częstochowie, gdzie w r. 1934, w obecności całego Episkopatu i przeszło stutysięcznych rzesz z całej Polski, zostało ostateczne postanowione podjęcie starań o beatyfikację Królowej i złożone zostały do rąk ks. Metropolity Sapiehy tysiączne petycje do Stolicy Św. wyrażające głęboką wiarę narodu polskiego w świętobliwość Królowej i prośbę o podniesienie jej kultu na ołtarze Świętych.

Trudno przewidzieć, jaki czas dzieli nas jeszcze od upragnionej chwili, gdy Bazylika św. Piotra w Rzymie zabłyśnie iluminacją podczas dokonywania doniosłego aktu beatyfikacji,

a później kanonizacji. Ale to pewna, że pobożne marzenie wielu pokoleń polskich od pół tysiąca lat sprawdzać się nareszcie zaczyna. To pewna bowiem, że chyba nigdy nie był naród polski tak bliskim urzeczywistnienia tego najszczytniejszego postulatu.

I dlatego powtarzamy w tym momencie to, co na tych łamach oświadczyliśmy kilka lat temu:

Jeżeli przez ubiegłych lat pięćset nie zdołała Polska, mimo korzystnych swego czasu warunków, osiągnąć kanonizacji Królowej Jadwigi, z której wspomnieniem tyle łączy się przykładów cnót heroicznych i prawdziwie chrześcijańskiego panowania, w najszczytniejszem tego słowa znaczeniu, to przeszkoda ogólna leżała widocznie w tem, że Polska godną tego zaszczytu jednak nie była. A stąd wynika logiczny wniosek, że jeżeli dzisiejsza, wskrzeszona Polska potrafi zdobyć się na to wszystko, co jest potrzebne do osiągnięcia tego wielkiego celu, to złoży tem samem dowód, że z błędów swych musiała się podnieść i poprawić. Dalecy od wszelkiego zbędnego mistycyzmu, dopatrujemy się jednak pewnej realnej więzi duchowej między głębią wiary i moralnej tężyzny Polaków, a osiągnięciem kanonizacji tej największej naszej Królowej, od której pojęcie Polski mocarstwowej i polskiej misji krzyżowej wogóle dopiero się datuje.

Tak pisaliśmy w początkach naszej akcji i to samo powtarzamy dziś z jeszcze głębszem przekonaniem. I pragnęlibyśmy tylko, aby to przekonanie, to głębsze uświadomienie o całem znaczeniu tej sprawy dla moralnego wzmocnienia narodu utkwiło we wszystkich umysłach.

Trzeba bowiem, aby naród polski — bez względu na stosunkowo drobnostkowe różnice przekonań politycznych lub społecznych — uświadomił sobie w całej pełni, co to znaczy i jaki wpływ wywrzeć może na niego i na świat cały wyniesienie na ołtarze Świętych tak potężnej, historycznej postaci. Oczywiście, że przed Trybunałem beatyfikacyjnym stanąć może Jadwiga nie jako królowa, ale jako świętobliwa niewiasta, o której cnoty heroiczne toczyć się będzie rozprawa. Ale, poza tym istotnym postulatem Kościoła, nie podobna nam, Polakom, zmuszać się do zasłonięcia sobie gwałtem oczu, że w osobie tej świętobliwej Sługi Bożej stanie przed Trybunałem i w oczach całego świata równocześnie wielka postać Królowej połączo-

nego mocarstwa polsko-litewsko-ruskiego, która jest i pozostanie dla nas na zawsze wzorem połączenia dla dobra wiary, państwa i narodów cnót heroicznych z genjalną polityką, realizowaną na bardzo wysokim, prawdziwie nadrzędnym poziomie.

Beatyfikacja takiej postaci w dzisiejszej epoce skrajnego materializmu i burzących, zakłamanych doktryn wywrotowych będzie oczywiście nie tylko wzmożeniem Chwały Bożej, ale równocześnie najskuteczniejszem, najrealniejszem odparciem ze strony polskiego narodu tych różnych złych mocy, które ze wszystkich stron tak straszliwie nas atakują, a które my dotąd, w niedostatecznem zrozumieniu ich głębszych celów, odpieramy bardzo słabo i powierzchownie, bo tylko za pomocą policji i różnych nikłych, często efemerycznych zrzeszeń społecznych.

To wszystko jest oczywiście także potrzebne, ale — powtarzamy — zbyt słabe na dłuższą metę, zbyt techniczne i chwiejne. Tu mocniejszego potrzeba czynu, któryby wykazał światu, a przedewszystkiem wszelakim złym mocom, że Polska nie tylko na ich lep nie idzie, ale wprost przeciwnie: sięga do najlepszych swych tradycji i skupia się opancerzona dokoła ołtarza jednej ze swych największych i najświętobliwszych postaci.

A przed takim faktem dokonanym, o ile tylko należycie przez naród polski będzie zrozumiany w całej swej doniosłości, załamie się atak bolszewizmu, masonerji, ateizmu i innych wrogich mocy. Załamie się daleko skuteczniej, niż przed bagnetem policjanta lub przed izolowanymi wysiłkami poszczególnych patrjotycznych działaczy.

O to właśnie chodzi. Z tym naczelnym, głębszym celem zawiązał się nasz Komitet. I dlatego redakcja „Naszej Przyszłości", wraz z gronem głębiej myślących ludzi dobrej woli obrała sobie na szerokim froncie walki o utwierdzanie katolicyzmu w kraju właśnie ten jeden odcinek, ten jeden wielki cel, dobrze przemyślany i skonkretyzowany. Rozumiemy dobrze, co to znaczy beatyfikacja Królowej Jadwigi w dzisiejszych warunkach i rozumieją to z pewnością także te wszystkie złe moce, które chciałyby katolicyzm i zarazem spoistość moralną i narodową w Polsce podważyć.

Wierzymy mocno w świętobliwość Królowej Jadwigi i wierzymy zarazem w niezmiernie doniosły wpływ jej kanonizacji.

Wierzymy również, że najwyższą racją stanu państwa polskiego jest jego rola jako twierdzy katolicyzmu. I z tych wszystkich względów apelujemy do całego narodu:

Kanonizacja Królowej Jadwigi musi być osiągnięta!

Komitet szerzenia kultu
Królowej Jadwigi.

Pierwszy polski minister spraw zagranicznych

Nie leży w charakterze, ani w zamiarach Związku Polskiej Myśli Państwowej komukolwiek pochlebiać. Wiadomo dobrze, że mamy raczej krytyczne nastawienie do aktualizmu, który nas otacza. Ten krytycyzm wynika nawet niejako organicznie z psychiki i ideologii szkoły, którą kontynuujemy i reprezentujemy. Ale tenże sam właśnie krytycyzm i niezbędny przy tem objektywizm nakazują nam podnieść także to, co naprawdę dodatniego widzimy we współczesnej Polsce.

Dodatnie, pozytywnie - twórcze, to nie znaczy oczywiście coś idealnego, przed czem mielibyśmy padać w bałwochwalczym zachwycie, jak to niestety stało się modą w nowoczesnych odłamach czy organizacjach politycznych. Wszak donkiszoterją jest zawsze i wszędzie poszukiwanie, czy żądanie jakichś ideałów. Każde dzieło ludzkie — a zwłaszcza dzieło trudne — ma swe niedomagania, błędy i niepowodzenia. To też może być na serjo zawsze tylko mowa o ogólnie dobrej lub ogólnie złej, czy niezdarnej polityce.

Otóż, stając na takiej generalnej platformie widzenia, musimy stwierdzić na podstawie dotychczasowej obserwacji realnych faktów, że Minister Józef Beck jest — pierwszym prawdziwym ministrem spraw zagranicznych w Polsce odrodzonej.

Dlaczego pierwszym? Dlatego, bo jego poprzednicy — którym zasług i szczerych starań bynajmniej nie chcemy przeczyć — byli jednak właściwie tylko ambasadorami polsko-francuskiego przymierza.

Był to wogóle okres supremacji francuskiej na kontynencie Europy, a zwłaszcza wszystkie państwa wskrzeszone czy nowopowstałe uznawały się świadomie lub podświadomie za wasalów Francji. I Polska żyła również w jakimś psycho-analitycznym „kompleksie niższości“, a więc i w pewnego rodzaju zależności od Paryża. Wszystko, co żyło i rządziło w Polsce, cią-

gnęło tam, jakby do jakiejś Mekki politycznej, której rozkazy, postulaty i życzenia były dla nas niemal bezdyskusyjną dyrektywą.

Faktem jest, że oprócz jakiejś, absolutnie znikomej grupki „germanofilów", którzy byli nimi jednak tylko skutkiem swego antyrosyjskiego nastawienia, nie przyszłoby nikomu w Polsce do głowy, żeby Polska mogła wogóle cośkolwiek innego robić jak iść śladami Francji i trzymać się jej kurczowo za poły.

Nie chcemy z tego tytułu nikogo ganić, gdyż takie ultrasiostrzane nastawienie wynikało organicznie z całej genezy odrodzenia Polski i jej ówczesnej sytuacji. Stwierdzamy tylko, że tak było i że wobec tego o żadnej, choćby nieco samodzielniejszej polskiej polityce zagranicznej mowy być nie mogło.

Przyszedł minister Beck i sprawa od podstaw się zmieniła.

Polska wstąpiła na drogę samodzielnej polityki zewnętrznej, której tory można ogólnie podzielić na trzy kategorje:

1) Utrzymując przymierze z Francją, ale na poziomie już równorzędnego partnera, weszła Polska w bezpośredni kontakt samodzielny z różnemi innemi mocarstwami, poczynając od traktatów od nieagresji, zawartych z Niemcami i Rosją, a kończąc na zdobyciu sobie odpowiedniego respektu w Londynie, który poprzednio traktował Polskę stanowczo jako państwo drugorzędne.

Przypomnijmy sobie choćby tylko nie tak dawny wypadek, gdy na pewnej międzynarodowej konferencji w Londynie potrafił p. Minister Beck skupić koło siebie współdziałanie szeregu mniejszych państw i przeforsować w ten sposób pewne polskie postulaty wbrew nieco zbyt apodyktycznym zamiarom niektórych mocarstw.

2) Wyzwolił p. Minister Beck Polskę nareszcie z narzuconej jej przez międzynarodowe „obce agentury" upokarzającej sytuacji w formie obcej kontroli nad mniejszościami, bijąc symbolicznie pięścią w stół na plenum Ligi Narodów. Na coś podobnego nie mogła się zdobyć poprzednia polska dyplomacja, będąca pod wpływem narkozy wyżej wspomnianego „kompleksu niższości" i nadmiernej czołobitności wobec Francji. Aby zerwać tak zdecydowanym gestem to jarzmo, trzeba było być nie tylko śmiałym dyplomatą, ale i — pułkownikiem.

3) Niezależnie od wielkich tych rozgrywek na najszerszej arenie polityki międzynarodowej, weszła Polska od szeregu lat ostatnich nareszcie w stadjum najbliższego myślenia o sobie.

Rozpoczęła planową akcję nad pewną konsolidacją Europy środkowo-wschodniej, to jest tego najniebezpieczniejszego trójkąta na naszym kontynencie, położonego między Bałtykiem, Adrjatykiem, a morzem Czarnem, a wbijającego się klinem między kleszcze rosyjsko-niemieckie.

Akcja ta nie idzie i nie może oczywiście iść po linji prostej, lecz tylko łamanej, wieńczona raz powodzeniami, to znowu chwilowemi zahamowaniami. Niemniej jednak stwierdzić należy, że przeciętna linja sukcesów w tym zakresie stale naprzód się posuwa.

Przedewszystkiem konsoliduje się zwolna z frontem ku Polsce — oczywiście wśród różnych perypetji — blok bałtycki, dla którego powiodło się zainteresować już nawet i Finlandję. Następnie coraz ściślejsze przymierze z Rumunją, przy dobrych stosunkach z Jugosławią, co przyczynia się do rozluźnienia niebezpiecznej dla nas pod czesko-bolszewicką batutą Małej Ententy. Dochodzi do tego coraz bliższe porozumienie z Bułgarją, która jeszcze parę lat temu zerkała jednostronnie w kierunku Niemiec, jako państwo w wojnie światowej zwyciężone.

Wreszcie coraz bliższe stosunki z Węgrami, które zabezpieczona z różnych stron Polska może obecnie już śmiało podejmować, ukoronowane narazie wizytą Regenta Węgier w Polsce i zapowiedzianą w niedługim terminie rewizytą Prezydenta Rzeczypospolitej w Budapeszcie zapoczątkowują ustalenie tak przez Zw. Polskiej Myśli Państwowej od szeregu lat propagowanej „żelaznej belki Warszawa - Budapeszt", jako stosu pacierzowego koncepcji Bloku środkowo - wschodniej Europy.

To też bez żadnej przesady stwierdzić należy, że wizyta Regenta Węgier na Wawelu, w towarzystwie węgierskiego ministra spraw zagranicznych, stanowi bodaj że najdonioślejszy symptom aktywności i celowości naszej polityki zagranicznej od początku odrodzenia Polski.

A tego wszystkiego przed objęciem teki przez obecnego Ministra spraw zagranicznych zupełnie w Polsce nie było. Co najwięcej oczekiwaliśmy wówczas z drżeniem i odkrytą głową łaskawego przyjazdu jakiegoś Francuza.

A pierwszy kontakt ultra-demokratycznej Francji w osobie premjera Lavala i hitlerowskiemi Niemcami w osobie p. Goeringa w czasie uroczystości pogrzebu śp. Marszałka Piłsudskiego w Krakowie? A polowania w Białowieży jako stały już obecnie system swobodnego dyplomatycznego kontaktu z ob-

cymi dygnitarzami, nawet niemieckimi, o czem poprzednio nikomu nawet się nie śniło?

Wszystko to razem — wymieniamy tu oczywiście tylko fragmenty — składa się na niezmiernie dodatnią całość: zdecydowanej aktywizacji samodzielnej polskiej polityki zagranicznej. A pamiętajmy, że karygodna bierność w tej właśnie polityce była niewątpliwie jednym z kardynalnych powodów upadku dawnej Rzeczypospolitej.

Pomijamy tu celowo pewne inne sprawy, daleko już nawet zaawansowane i niezmiernie ważne, jednak niedość jeszcze dojrzałe, aby można o nich pisać otwarcie.

Różne sfery społeczeństwa naszego nie wyleczyły się jeszcze z ran duchowych, zadanych nam przez obce zabory i dlatego tkwią jeszcze w narkozie pewnego przeczulenia orjentacyjnego i sentymentalnych legend, wskutek czego nie są jeszcze zahartowane na trzeźwe, rzeczowe traktowanie różnych zagadnień zagranicznych. Rozmaitego rodzaju filstwa lub fobje stanowią jeszcze smętny remanent z okresu niewoli w umyśle przeciętnego Polaka.

Zanotować jednak należy stopniowy, powolny nawrót od sentymentalizmu do trzeźwego realizmu.

Ale co Związek nasz i wydawnictwo nasze najbardziej i najbezpośredniej obchodzi, to wyżej wspomniany fakt coraz wyraźniejszego zarysowywania się Bloku państw środkowowschodniej Europy. Wszak od początku niemal swego istnienia wysunęła „Nasza Przyszłość“ tę koncepcję, uzasadniając ją serjami artykułów i na zwoływanych ad hoc zebraniach z wszelkich punktów widzenia. Możemy słusznie stwierdzić, że nomenklaturę i pojęcie „środkowo - wschodnia Europa“ wprowadziliśmy pierwsi na arenę publiczną.

Czy chcemy przez to dać do zrozumienia w zarozumialczym porywie, że obecny Minister Spraw Zagranicznych czerpie pewne koncepcje z Naszej Przyszłości? Podobna sugestja była by tak śmieszną, jak owo sprytne twierdzenie Zagłoby, że obalił Gustawa Adolfa razem z koniem pod Trzcianą. Ale coś innego wynika z tej niby przypadkowej równoległości pewnych przemyślanych rezultatów oficjalnej polityki zagranicznej z wynikami przemyślenia pewnych sfer prywatnych. Wynika mianowicie to, że prawda polskiej racji stanu jest oczywiście tylko jedna i że tę prawdę uchwycić może, niezależnie jeden od drugiego, zarówno odpowiedzialny mąż stanu o szerokim horyzoncie, jak i prywatna myśl obywatelska, poświęca-

jąca się poważnie, objektywnie temu zagadnieniu. Nie masz więc w tem nic dziwnego. Ludzie na różnych stanowiskach muszą dochodzić w końcu do zbliżonych poglądów na pewne najżywotniejsze sprawy krajowe, o ile tylko albo z racji swego wysokiego horyzontu oficjalnego i osobistego talentu, albo przez wydobycie się ponad krępującą skorupę podwórkowych orjentacyj partyjnych potrafią spojrzeć na sprawy i potrzeby krajowe z wyższego poziomu i w perspektywie na dalszą metę.

Sekcja dla spraw zagranicznych
Zw. Polskiej Myśli Państwowej.

Wzgórze św. Jura a legenda Wołynia

Zbliżają się prawdopodobnie bardzo doniosłe wydarzenia dziejowe, na które gotować się winni bezwarunkowo Polacy i Rusini w zgodnej, planowej, konsekwentnej akcji, aby nie dać się zaskoczyć wypadkom, jak to niestety z reguły dawniej bywało — z wielką szkodą dla obu tych narodów, a z łatwo osiągalną korzyścią dla białej lub czerwonej Moskwy.

Tego pragnie, do tego wzywa od szeregu lat Nasza Przyszłość. O to walczy z zaślepionymi ruskimi ukrainizatorami i niemniej zaślepionymi, słabeuszowskimi polskimi ukrainistami. Wyraz bowiem „Ukrainiec" nie jest wcale pustym dźwiękiem, ani dowolnie obranem pojęciem, w które mogliby się Rusini swobodnie przyoblekać według jakiegoś doktrynerskiego samostanowienia narodów o swych nazwach. Przeciwnie — wyrażenie „Ukrainiec" jest pełne treści, negatywnych konsekwencji i dzikiej nienawiści między Polakami a Rusinami, którego ostateczne ustalenie się w całym ruskim narodzie wzbudziłoby znowu niewygasający, anarchiczny i niczem nie nasycony wulkan „siczowy", którego wybuch osłabiłby Polskę, zniszczył do reszty naród ruski, a natomiast przyczynił się ogromnie do ostatecznego utrwalenia moskiewszczyzny na Ukrainie.

Jest niestety sporo jeszcze Polaków wśród urzędowych i prywatnych sfer naszego społeczeństwa, którzy tej wielkiej prawdy i nauki dziejowej w żaden sposób nie są w stanie zrozumieć i wciąż łudzą się nadzieją, że schlebianiem ukrainizmowi i wytańcowywaniem przed nim usłużnie kozaka, a nawet — o dziwo! — licytowaniem się z Ukraińcami w gorliwem ukrainizowaniu całych województw polskich dokonają niesłychanych rzeczy. No, na upór niema lekarstwa!

A tymczasem dzieją się w obrębie granic państwa polskiego rzeczy wprost niesamowite.

Codzienna prasa polska, a na jej czele w tym względzie Ilustrowany Kurjer Codzienny, zaczyna nareszcie dochodzić prawdy i wyraźnie ją ogłaszać. Nareszcie — do niedawna bowiem była Nasza Przyszłość w tej dziedzinie izolowaną, przemilczaną i jak gdyby wyklętą. A więc opinja polska przyzwyczajać się zaczyna z tej prasy do realnej nazwy Rusin, zamiast fikcyjnej c. k. nazwy Ukrainiec. Dowiaduje się również o realnych rezultatach działalności najzjadliwszego ośrodka ukrainizatorskiego, które od lat obrało sobie miejsce na Wzgórzu św. Jura we Lwowie, a rozgorzało do czerwoności z chwilą, gdy na tej stolicy metropolitalnej grecko-katolickiej zasiadł magnat polski, Andrzej hrabia Szeptycki.

Mieliśmy sposobność bliżej śledzić dziwną drogę tego człowieka, którą obrał sobie za jakąś misję dziejową. W założeniu tej obranej misji leżało niby ugruntowanie zgody polsko-ruskiej. A drugim założeniem była i jest u tego Apostoła zgody gotowość zostania męczennikiem swej misji.

Byłoby to wszystko bardzo pięknem i zaszczytnem założeniem, gdyby Metropolita Andrzej hr. Szeptycki miał odpowiednie do tej roli kwalifikacje, a więc gdyby albo chciał pośredniczyć między obu narodami w charakterze rdzennego Polaka, albo gdyby wykonując swą misję polityczno-arcypasterską, był rdzennym Rusinem.

Niestety Andrzej hr. Szeptycki stał się ni tem, ni owem, ale pozostał — bo chyba nie mógł nie pozostać — polskim magnatem. Odbiło się to już w pierwszych latach jego rządów w nietajonej, wiadomej powszechnie jego chęci osiągnięcia stanowiska jak gdyby „władyki" nad wszelkimi Ukraińcami świata, a zwłaszcza na bezpośrednim obszarze od Małopolski Wschodniej po Syberję.

Otóż w jednem zgodni są dziś już niemal wszyscy historycy, nawet skrajnie konserwatywni: że możnowładztwo zgubiło Polskę. Rzecz jasna, że nie można tej tezy generalizować, skoro historja nasza obfituje w liczne, chwalebne od tej reguły, wyjątki. Niemniej jednak prawdą jest, że prywata lub błędna polityka możnowładztwa przyczyniła się najbardziej do upadku dawnej Rzeczypospolitej.

Otóż magnat polski, zasiadłszy na tak politycznie eksponowanej stolicy, jaką jest z natury rzeczy Wzgórze Świętojurskie, wniósł w działalność jej — jak słusznie dziś to prasa podnosi — rozmach bojowy, na który nie byłby się zdobył żaden Rusin, choćby już z tego tylko powodu, że rdzenny Rusin nie

miałby potrzeby wykazywania się wobec swych rodaków jakimś ultra-ukrainizmem.

Ale za austrjackich czasów było z tem jeszcze pół biedy, bo wówczas oba nasze narody były we wspólnej niedoli obcego panowania, a cesarska korona Habsburgów tak imponowała ukrainizatorom, że — poza poszczególnemi wybrykami — siedzieli względnie cicho. Dopiero powstanie niepodległej Polski rozpaliło zawiść świętojurców do białości, a ks. Metropolitę Szeptyckiego pchnęło fatalistycznie na drogę otwartej wrogości wobec Polski.

Nie wolno nam oczywiście przypisywać Metropolicie hr. Szeptyckiemu wprost złej woli i premedytacji w jego działalności. Intencje sumienia każdej jednostki nie zawsze dają się sprawiedliwie osądzić. Ale chodzi tu o fakta, a te fakta, wywołane ukrainizmem ks. Metropolity, są w ostatecznym rezultacie fatalne dla obu narodów. Sprawić mogą w przyszłości chyba tylko jakieś porozumienie między Polską a Rosją i Rumunją, wymierzone przeciw „Ukraińcom", gdyż z dwojga złego—i to dwojga bardzo złego—stosunkowo jeszcze mniej bezpośredniem niebezpieczeństwem grozi Polsce jaka taka Rosja, niż ponowny wybuch wulkanu hajdamackiego, którybyw ostatecznej, nieuchronnej i mającej już precedensy dziejowe konsekwencji, nie tylko sam przez się był dla nas groźnym, ale podjudziłby przeciw nam Rosję.

O tem bowiem zapominać nie wolno nam ani na chwilę, że o ile niepodległościowe dążenia przyjaznej nam Rusi są wielce korzystne dla polskiej racji stanu, o tyle podobne dążenia wrogo do nas usposobionych Rusinów, idących pod sztandarem siczowo-hajdamackim, grożą nam katastrofą.

Całe to zarzewie, które rozgorzało przeciw Polsce na Wzgórzu Świętojurskim we Lwowie, nabiera szczególnej mocy na tle innej jeszcze sprawy, pod względem bezpośredniego aktualizmu dla Polski najniebezpieczniejszej.

Od szeregu lat wykazuje Nasza Przyszłość serjami artykułów i głosi to na różnych zebraniach, że bezpośrednim celem ukrainizmu, agitującego w obrębie naszego państwa, nie jest wcale sprawa wskrzeszenie Wielkiej Ukrainy. To tylko — jak praktyczne doświadczenie wykazuje — typowy „straszak na Lachy".

Ukraińcy nasi, jako ludzie niezmiernie praktyczni i przyziemni, zrezygnowali już bowiem w bardzo znacznym stopniu (mimo całego ruchu Prometejskiego) z realnych możliwości

oderwania od Rosji zakordonowej Ukrainy i przyłączenia do niej... niemal połowy obszaru obecnego państwa polskiego, do której mają pretensję. Wiedzą zresztą, że Rusini zakordonowani, prawosławni—o ile wogóle nie są zbolszewizowani— wcale nie płoną braterstwem do grecko-katolickich „Hałyczan" z Małopolski Wschodniej.

Zdając sobie z tego wszystkiego dobrze sprawę, dąży ruch ukrainizatorski w Polsce — tryskający głównie ze Wzgórza św. Jura — przedewszystkiem do zagarnięcia tego, co wydaje mu się najłatwiejszem, a przy tem „konkretnem i realnem", mianowicie całego obszeru Polski w wielkim półksiężycu od Łemkowszczyzny , poprzez Małopolskę Wschodnią, Wołyń, wschodnią Lubelszczyznę, Polesie, aż po Wilno. I w gigantycznych tych pretensjach zaborczych kładzie ukrainizm swą łapę nawet na obszary ze znaczną większością polską, gdzie tylko znajduje się parę wiosek, lub choćby tylko parę chat „ukraińskich". Ma w ten sposób powstać jakieś dualistyczne państwo polsko-ukraińskie, z polską stolicą, pozostawioną nam łaskawie w Warszawie, a z ukraińską we Lwowie.

Reminiscencje austrjackie, którym dzisiejszy bojowy ukrainizm zawdzięcza przynajmniej w osiemdziesiąt procent swą genezę, pokutują dalej w umysłach mołojców siczowych z b. Galicji wschodniej.

I to jest najrzeczywistsza rzeczywistość dzisiejszego ukrainizmu. I za odkrycie tej prawdy niezależnie od równoczesnego odkrycia jej i sformułowania przez Naszą Przyszłość — za konsekwentne hamowanie tego zaborczego rozwoju ukraiinizmu — dał życie ś. p. Minister Pieracki.

Jakżeż wynika ze wszystkiego powyższego naczelne wskazanie dla ogólnej polityki władz państwowych i dla nastawienia polskiego społeczeństwa? Oczywiście to, aby bezwzględnie sparaliżować tę wielką, a bardzo sprytnie obmyślaną konspirację ukrainizatorską. Nie wolno pod żadnym warunkiem, ani pod wpływem żadnych złudzeń dopuszczać do rozszerzania się choćby nawet tylko samej nazwy ukrainizmu tam, gdzie jej jeszcze niema, a natomiast wyplenić ją należy wszędzie tam, gdzie sztucznie za Polski niepodległej wtargnęła.

Żadne przyszłościowe konsyderacje czy rachuby polityczne, żadne osobiste różnice przekonań wśród Polaków na sprawę rusko — ukraińską, żadne, nawet najlepszą wolą dyktowane eksperymenty w kierunku rozszerzania pojęcia „Ukrainy" tam,

gdzie jej w istocie nigdy nie było, nie powinny i nie mogą stanowić usprawiedliwienia dla jakiejkolwiek taktyki rządowej czy prywatnej w tej sprawie.

I na tem tle — pomijając wszelkie fluktuacje konjunktur i personaljów — wysuwa się ważne zagadanienie blisko dwudziestoletniej już polityki polskiej na Wołyniu, jako na obszarze węzłowym w owej, wyżej wspomnianej zaborczej konspiracji ukrainizmu. Jeżeli Wołyń — pod jakim bądź pretekstem, czy pozorem, czy celem — ulegnie ukrainizacji, tak czy inaczej przez chwilową politykę polską pomyślanej lub tolerowanej, czy wreszcie „kierowanej", to otwarte zostaną szeroko wrota dalszego zaboru ziem naszych przez ukrainizm na północ, naród białoruski ulegnie szybko tej pod każdym względem Polsce wrogiej zarazie i niezadługo zatkną Ukraińcy swe zwycięskie sztandary w Wilnie. A wówczas od Dunajca po Dźwinę będziemy mieli zjednoczonego wroga ukraińskiego przeciw sobie i wszelkie pobożne zamiary „normalizacyjne", uprawiane sprytnie przez Ukraińców w Parlamencie polskim i w nastrojonych sztucznie ad hoc enuncjacjach prasowych, odsłonią groźną prawdę. I wówczas też będzie już zapóźno spierać się o to, czy miała rację lub nie miała polityka tego lub owego wojewody, czy tego lub owego partyjno-politycznego systemu, gdy zwarty półksiężyc ukraiński, zaprawiony mocno i scementowany różnemi „obcemi agenturami", otoczy nas od południa, wschodu i północy.

Dalecy jesteśmy od chęci utrudniania Rządom wskrzeszonej Ojczyzny ich pracy politycznej i to tem bardziej, że niepodobna prywatnemu autorowi znać dokładanie wszystkich arkanów bieżącej racji stanu, którą się miarodajne w danej dziedzinie czynniki państwowe każdego czasu kierują. Wiemy też z niejednego doświadczenia, że inne bywają pozory, a inna głębsza, planowa rzeczywistość. Uznajemy również, że inaczej wygląda polityka aktualistyczna, doraźna, a inaczej dalekosiężna polityka na dłuższą metę. Ta ostatnia, dla ogółu często niezrozumiała, może ten ogół chwilowo drażnić, może mu się nawet wydawać, „katastrofalną" z codziennego punktu widzenia, a mimo to być słuszna w rezultatach na dalszy dystans.

To wszystko prawda, niemniej jednak uważamy za wskazane i konieczne, aby ogół polski nie był już dłużej trzymany w nieświadomości tego, ku czemu zmierza w wewnętrznych stosunkach krajowych polityka oficjalna. Może to być chwi-

lowo i do pewnego stopnia wskazane w zagranicznych posunięciach dyplomatycznych, zwłaszcza w podejmowanych tam próbach, które nie dojrzały. Ale nie jest wskazanem utrzymywać naród w polityce wewnętrznej wśród mgły, z której rodzą się oczywiście tylko niezdrowe legendy.

Otóż faktem jest bezspornym, że wewnętrzna polska polityka kresowa, a wśród niej zwłaszcza polityka na Wołyniu, jest legendą nawet dla politycznie więcej uświadomionego polskiego ogółu. Coś się tam dzieje, jakieś tam przeprowadzane bywają na miljonach obywateli „tajemnicze zamiary", słyszy się to lub owo nazwisko, z którem taka czy inna legendarna polityka jest związana — a której oczywiście tykać nie wolno — ale nie wiadomo, dokąd to wszystko właściwie zmierza? Naród polski traktowany jest pod tym względem jak dzieci nieletnie. Czasem wynurza się z tej mgły jakiś „poseł na sejm", wygłosi w spreparowanej entuzjazmem przemowie, że wszystko jest jak najlepiej, poczem zasłona mgły znowu się zasuwa i kwestja kresowa z polskiej strony pozostaje nadal niezrozumiałą i „bezkresną"...

Natomiast z ukraińskiej strony ta kwestja staje się coraz wyraźniejszą i coraz brutalniejszą. Widzimy legjony zaciekłych ukrainizatorów, śpieszących z pod świętojurskiego Wzgórza na północ i rozpalających tam przedewszystkiem nienawiść do wszystkiego, co polskie. Tego faktu żadne dementi zaprzeczyć nie może. Gdzie do niedawna był święty spokój między dworem czy inną placówką polską, a ludnością ruską, tam penetrują obecnie hordy rozcietrzewionych politycznie i społecznie ukrainizatorów, szerząc zarazę zawiści narodowościowej i klasowej. Legenda biegnie dalej na skrzydłach i donosi, że polskimi rękami tworzą się szkoły i inne placówki „ukraińskie" nawet tam, gdzie ludność miejscowa żadnej potrzeby w tym kierunku nie objawiła i wrogo do ukrainizmu się odnosi.

A w rezultacie — w ostatecznym, praktycznym rezultacie — kurczy się polski stan posiadania. Czegoś podobnego nie robił i nie robi żaden naród na świecie.

Odpowiadają na to obrońcy tej polityki, że właśnie tworzeniem tego północnego ukrainizmu, przeważnie prawosławnego, ma być zwalczony ukrainizm południowy, świętojurski. Znowu pobożne życzenie, nierealne wobec oczywistego faktu, że ukrainizm świętojurski, jako znacznie wyżej kulturalnie i politycznie wyrobiony, musi przecież wziąć górę i w końcu całą

politykę kresową sobie podporządkować! Zbyt subtelna, zbyt koronkowa polityka polska w całej tej sprawie — o ile możemy wywnioskować: zwalczenia ukrainizmu halickiego przez sztuczny ukrainizm wołyński — wydaje nam się, o ile istotnie tak ją należy rozumieć, zupełnie chybioną z tego prostego względu, że przed zaborczym, brutalnym ukrainizmem halickim w żadnym razie się nie ostoi. Wszak jasnem jest, że zapomocą sztucznie, a specjalnie zukrainizowanego wołyńskiego, czy innego północnego Rusina nie zwalczy się nigdy wyszkolonego, doskonale zorganizowanego naporu ukrainizatorów małopolskich.

Jakąkolwiek więc miałaby być w przyszłości polska polityka państwowa i prywatna na Kresach Wschodnich, to jednego przynajmniej musi się trzymać bezwzględnie warunku: stanowcze położenie tamy ekspansji ukrainizmu, t. j. wszystkiego, co de nomine czy de facto tchnie duchem, czy charakterem czy tradycją siczowo-hajdamacką. Wszak tragokomiczną byłaby współczesna polska polityka, któraby z jakich bądź względów, czy rachub czy eksperymentów dopomagała do roznoszenia i rozniecania wśród spokojnej ludności ruskiej bojowego ukrainizmu, wyrosłego na smutnych tradycjach buntów kozackich, Gonty i Żeleźniaka oraz perfidnej polityki metternichowskiej. A jeszcze bardziej tragikomicznem byłoby likwidowanie polskiego odwiecznego stanu posiadania dla zupełnie złudnej i nierealnej mrzonki, jakoby sfabrykowany sztucznie Ukrainiec jakiegokolwiek typu mógł stanowić przednią straż dla ewentualnego pochodu na wschód Polski, czy jakiejś z polskiej inicjatywy wychodzącej idei federacyjnej, czy innej. Kolosalna byłaby to omyłka, z której wyśmialiby się nie tylko ukrainizatorzy wśród narodu ruskiego, ale również Moskale i Niemcy, którzy mogliby wówczas sparafrazować o nas znane przysłowie: nichts gelernt und Alles vergessen!

Reasumując, twierdzimy stanowczo, bez żadnego wahania: polska polityka kresowa winna raz nareszcie z bezwzględną konsekwencją zwrócić się przeciw wszystkiemu, co jest ukraińskiem i zaniechać wszelkich w tym kierunku eksperymentów, a natomiast poprzeć wszystko, co chce być i nazywać się ruskiem i białoruskiem, bez względu na wyznanie religijne

Historja bowiem znowu uczy wymownie, że wszelkie eksperymenty religijno-unijne nie wyszły nigdy na naszą korzyść. Jeżeli już ma iść na wschód wiara katolicka — oczywiście bez żadnego nacisku — to jedynie tylko w swym łacińskim, rzym-

skim obrządku. Greko-katolik, jako twór kompromisowy, będzie z politycznego punktu widzenia ni tem ni owem, a dla Polski wrogo usposobionym, przynajmniej tak długo, dopóki— dziwną ironją dziejów — z wyznaniem greko-katolickiem związane będą tradycje kozaczyzny, choć ta przecież nigdy katolicką nie była!

Nie potrzebujemy przy tem chyba nawet specjalnie akcentować, że odwrót od ukrainizmu, a zwrot ku tradycjom czysto ruskim nie oznacza popierania t. zw. Starorusinów, czyli moskalofilów, którzy — chcąc łowić ryby w mętnej wodzie naszej chwiejnej dotąd polityki kresowej — podszywają się bardzo sprytnie pod nazwę „Rusinów". Tych trzeba dokładnie wyodrębnić, gdyż są to zwolennicy Moskwy, oczekujący wciąż na jej przybycie. I ten kierunek, pseudo-ruski, a właściwie rosyjski należy likwidować wszelkim sposobem, jako mający charakter oczywistej zdrady stanu.

Stąd wynika dla nas konieczność odpowiedniego krytycyzmu w odniesieniu do różnych enuncjacji i innych przejawów ze strony „Rusinów". Jeżeli dochodzą nas wieści, że na różnych zebraniach znaczny procent Rusinów, opowiadających się za Polską, przeciwstawił się Ukraińcom, to wstrzymajmy się od natychmiastowego trąbienia na tryumf. Nie wiadomo bowiem, ilu wśród anty-ukraińsko nastrojonych elementów jest prawdziwych, spokojnych Rusinów — więc zwolenników Rusi bez żadnych dodatków — a ilu moskalofilów, którzy, przy całej ich powierzchownej gładkości wobec nas, są w istocie najgorszymi naszymi wrogami, bo wprost agentami Moskwy — i to tej spodziewanej przez nich Moskwy białej, daleko groźniejszej dla nas politycznie, gdyby miała odrodzić się kiedykolwiek, od dzisiejszej Rosji czerwonej.

Jan Bobrzyński.

A n t y s e m i c i ??
(Na marginesie walki z podświadomymi popieraczami obcych agentur)

Słusznie, jak widać, wysunęliśmy i ustalili tezę w poprzednich zeszytach naszego wydawnictwa, że kto chce na serjo, integralnie, dowiercać się do wrogich obcych agentur, działających na terenie Polski, ten musi najpierw rozbić twardy mur, wzniesiony tępym, zaciekłym, partyjno-politycznym lub klasowo-doktrynerskim uporem różnych rdzennych Polaków, którzy, głosząc powierzchowną, w gruncie rzeczy niewinną i słabą walkę z masonerją, bolszewizmem i światowym judaizmem, rzucają jednak — z jakimś przedziwnym brakiem orjentacji — belki pod nogi każdemu, kto pragnie dotrzeć naprawdę do podstaw wrogiej Polsce obcej akcji i wymierzać w nią rzeczywiście skuteczne ciosy.

Że tak jest niestety, tego wyraźne i jaskrawe dowody przynosi nam raz po raz prasa polska, nawet ta, która najhałaśliwiej, z największym zarozumialstwem firmuje się polskością i katalicyzmem i wzywa gołosłownie, po reportersku, do walki czy to z komunizmem, czy masonerją, czy z żydostwem. Czytamy tam raz po raz pompatyczne na ten temat odezwy i artykuły. Ale niech tylko Nasza Przyszłość uderzy integralnie, uczciwie, bezinteresownie w samo sedno niebezpieczeństwa, przykładając siekierę do samych korzeni złego, to wówczas, za każdym razem, dotąd bez wyjątku, rzuca się przeciw temu prasa „katolicka" i „narodowa", nie szczędząc nam najzłośliwszych krytyk, a nawet występnych epitetów.

Nie jesteśmy biurem dedektywów, nie mamy czasu ani chęci wchodzić w głębsze pobudki dziwnej taktyki prasowej tego osobliwszego rodzaju — ale na podstawie dłuższego doświadczenia jesteśmy zmuszeni skonstatować, że taktyka ta wychodzi w praktycznym, ostatecznym rezultacie na oczywistą korzyść obcych agentur, które z radością widzą, jak nawet naj-

bardziej narodowo-katolickie sfery społeczeństwa polskiego tłumią drwinami i potępieniem akcję anty-agenturową.

Taki jest niestety faktyczny, bezsporny stan rzeczy, którego żadne, najzręczniejsze nawet polemiki i wykręty atakujących nas złośliwie organów prasowych nie są w stanie zamydlić i zatuszować. Oto nowe przykłady tej dziwnej taktyki i zarazem dowody naszego twierdzenia.

Głos Narodu — krakowski organ Chrześcijańskiej Demokracji, a zwłaszcza tamtejszego kleru — znowu zaatakował nas bezkrytycznie, powierzchownie i złośliwie, zgoła nie „po chrześcijańsku", za nasz sposób wystąpienia przeciw bezsprzecznie groźnej dla Polski i katolicyzmu akcji judaizmu światowego. Ale w złośliwej swej notatce, typowo powierzchownie — reporterskiej, nie polemizuje nawet z nami poważnie, rzeczowo, pomija zupełnie milczeniem świetny, głęboki, na bezspornych źródłach oparty artykuł p. J. Czarneckiego w tymże zeszycie Naszej Przyszłości, lecz wyrywając — pospolitym, niskopoziomowym obyczajem gazieciarskiej tromtadracji — parę zwrotów z naszej obszernej, dokładnie i lapidarnie uzasadnionej rozprawy, staje — dziw nad dziwy! — jakgdyby w obronie żydowskiej Kabały i Talmudu.

My bowiem stwierdziliśmy tylko w rzeczowej rozprawie rzecz najoczywistszą, bezsporną, pozadyskusyjną w Kościele katolickim, że prawdziwa linja Objawienia, Odkupienia i Zbawienia idzie przez Mojżesza, Proroków i Chrystusa do Kościoła katolickiego, gdy natomiast Żydzi odszczepili się faktycznie od tej świętej Tradycji jeszcze przed publicznem wystąpieniem Zbawiciela, a wnet potem w Talmudzie i Kabale wpadli w herezję, aż wreszcie ugrzęźli w ostatnich wiekach w istotnym ateiźmie, bo w koncepcji „zbiorowego mesjanizmu" całego narodu żydowskiego.

Głos Narodu, aczkolwiek w jego gronie redakcyjnem nie brak wykształconych księży i nie powinno braknąć ludzi, znających Biblję i genezę Objawienia, nie zorjentował się zupełnie w naszej specjalnej metodzie uderzenia w same podstawy judaizmu. Bo walka z Żydostwem — a raczej chwilowa moda tej walki—wylewa się obecnie w pustym a bezskutecznym wrzasku „bij Żyda"! — i niby w jakimś bojkocie ekonomicznym Żydów. Atakuje się więc naród żydowski na odcinku, gdzie jest on najsilniejszy i gdzie szerokie sfery gospodarcze rdzennego społeczeństwa polskiego nie mogą się (i na serjo nie chcą!) bez Żyda obejść. Natomiast tam, gdzie judaizm jest stosunko-

wo najsłabszy, bo na oczywistym zakłamaniu oparty i skąd czerpie organicznie swój pęd do popierania rewolucji i komunizmu oraz do ustawicznego urabiania pod ziemią historji Europy dla swych dalekosiężnych celów, tam prasa polska, z chrześcijańsko-demokratycznym Głosem Narodu na czele wzdraga się integralnie zaatakować, a nawet zwalcza namiętnie pierwszą inicjatywę tego ataku, zupełnie tak, jak gdyby była posłuszną rozkazom czy sugestjom jakiegoś tajemniczego „Sanhedrynu".

Oczywiście tak nie jest i pobudek ataku na nas niektórych pism zawodowo-katolickich doszukiwać się należy tylko w tępem, zakostniałem partyjnictwie. Głos narodu nie jest w stanie wyobrazić sobie, że może istnieć organ niezależny, piszący objektywnie, bez żadnych ubocznych myśli i aspiracji wiecowo-wyborczych i stąd też, uważając Naszą Przyszłość widocznie za organ obozu sanacyjnego lub stronnictwa konserwatywnego, wali w nas „pryncypialnie" wrogimi artykułami i notatkami.

Zresztą nie pierwszyzna to dla nas z tej szacownej strony. Wszak już szereg lat temu pewien ksiądz - publicysta z pod sztandaru Głosu Narodu, zarzucał gołosłownie stronnictwu konserwatywnemu w Polsce, do którego niektórzy z grona autorów Naszej Przyszłości wówczas jeszcze należeli, że ludzie z tego stronnictwa są tylko formalnymi katolikami, a nie prawdziwymi.

Oczywiste jest, że takich insynuacji kapłanowi Kościoła katolickiego generalnie robić nie wolno. Sprzeciwia się to wyraźnie urzędowi pasterskiemu Kościoła. Sprzeciwia się to nauce Chrystusa: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody ziemi!" Wszystkie — a więc nie tylko grupki wzajemnej adoracji dewotek zakrystyjnych oraz chadecko-endeckie, którym oddane na odpowiednią listę partyjną głosy wyborcze mają zepewnić zbawienie. Jest to wręcz przeciwne także kardynalnemu przykazaniu miłości bliźniego, z którą każdy kapłan katolicki winien odnosić się do wszystkich owieczek, bez względu na ich świeckie zapatrywania polityczne — nawet do nas, tych nieszczęsnych „trędowatych", którzy nie mamy zapewnionego zbawienia, bo nie jesteśmy wpisani na listy wyborcze chadecko-endeckie i jako przykład ewangieliczny obraliśmy sobie stanowczo owego, bijącego się w piersi celnika, a nie arogującego sobie monopol pobożności i doskonałości Faryzeusza.

Stąd śmiemy też twierdzić, że jeżeli już koniecznie chodzi o kwestję zbawienia według kategorji przekonań politycznych, to — pomijając w pokorze ducha skromne grono trędowatych

z pod znaku Naszej Przyszłości — bez wątpienia będzie większa radość w Niebie z nawrócenia jednego Peowiaka-Niepodległościowca, byłego socjalisty, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu dewotów i dewotek z pod sztandaru chadecko-endeckiego.

To jest pewne, jak amen w pacierzu!

I druga rzecz jest również bezsporna, którą mamy odwagę cywilną i obowiązek przytoczyć na podstawie własnego doświadczenia z licznych przykładów: że mianowicie kapłan katolicki, który odnosi się do bliźnich w taki sposób, jak określiliśmy powyżej, nie jest godnym swego wzniosłego urzędu, ale winien być poddany surowym rekolekcjom.

I to jest nasze ostatnie, niewzruszone słowo w tej materji.

A stanowisko Głosu Narodu względem nas jest tem bardziej absurdalne, że — dalecy od wszelkich upartych doktryn partyjnych — odnosiliśmy się bardzo przychylnie do idei Chrześcijańskiej Demokracji, opartej przecież na inicjatywie i encyklikach papieskich, które dla każdego prawowiernego katolika winny być drogowskazem. Tylko, że niestety wielka i wzniosła ta idea została na platformie partyjno-politycznej zupełnie wypaczona przez zażartych polityków i — co gorzej jeszcze—przez rozpolitykowanych księży. Jeżeli więc atakujemy Głos Narodu i rozwiecowaną, na wskroś demagogiczną Chrześcijańską Demokrację w Polsce, to nie z powodu jej genezy i idei, które całkowicie aprobujemy, lecz z powodu zupełnego ich wypaczenia i partyjno-politycznego rozwydrzenia. Nadto zaś nie możemy tolerować, aby organy prasowe, uważane za głos opinji polskiego kleru, były w istocie rzeczy trąbami idei „słowiańskiej", głosząc serdeczne braterstwo ze zbolszewizowanymi lub husyckiemi Czechami, gdy powszechnie wiadomo, że cała idea słowiańska wraz ze wszystkiemi jej ekspozyturami, dostała się od szeregu lat pod wyraźny wpływ rosyjskich lub czeskich bolszewików.

I tu nawiązać możemy do niemniej złośliwej notatki, zamieszczonej pod naszym adresem w endeckim dzienniku „Kurjerze Poznańskim". Rzuca się na nas ta gazeta z powodu ogólnego naszego twierdzenia w poprzednim zeszycie Naszej Przyszłości, iż niektóre gazety warszawskie, krakowskie i poznańskie są mimowolnemi narzędziami penetracji czeskiego bolszewizmu. Nie wymieniliśmy przecież żadnej z nich po imieniu i nie myśleliśmy nawet o Kurierze Poznańskim, ale niechże ta gazeta uważa, aby przez jej ostry wypad nie przyszło nam do głowy

przysłowie: uderz w stół, a nożyce się odezwą! Przypominamy, że już w poprzednich zeszytach naszego wydawnictwa oświadczyliśmy, iż żadnych, prawnie ważnych dowodów nie posiadamy i nie szukamy, jakoby redakcja tego lub owego pisma słuchała istotnie rozkazów z Pragi lub otrzymywała od Czechów srebrniki za służenie tej obcej agenturze—chwilowo najbardziej Polsce wrogiej. Nie—nic podobnego, nie twierdzimy. Natomiast opieramy się tylko na słowach Chrystusa o złych mocach: „Po ich owocach je poznacie".

Jeżeli więc Czesi jawnie i wyraźnie stoją na usługach bolszewizmu, masonerji i husytyzmu i prowadzą wyraźną walkę z Kościołem, penetrując do Polski perfidnem nadużyciem idei „słowiańskiej", a chadecja i endecja polska, wraz z t. zw. frontem Morges i innemi swemi kreacjami, bronią Czechów i idei słowiańskiej, to w nieuchronnej logice wynika dla nas, że chadecko-endecka opinja i prasa służą — choćby mimo woli — za narzędzia obcych, wrogich Polsce agentur.

I fakt ten nie da się usunąć lub zatuszować przez żadne złośliwe ataki na Naszą Przyszłość, nawet przez wytaczanie nam procesów o zniesławienie i nawet przez wygranie tych procesów. Sąd w braku skonkretyzowanych dowodów może uwolnić prasę endecko-chadecką z zarzutu, a skazać Naszą Przyszłość na grzywnę i kajdany — ale przez takie czysto formalne, adwokackie załatwienie sprawy, fakt czechofilskiego i słowianofilskiego, a więc w mimowolnym rezultacie bolszewickiego służalstwa mentalności chadecko-endeckiej w niczem się nie zmieni.

Żelazną miotłą wymieść trzeba wszelkie słowianofilskie inklinacje pewnych partji politycznych i pewnych organów prasowych w Polsce. Jasno i wyraźnie, po męsku, stwierdzić należy wszędzie prawdę, że duch dziejów Polski i racja stanu naszej wskrzeszonej Ojczyzny nie mają i nie powinny mieć nic wspólnego z targowicką ideą i perfidną psychiką tak zwanej słowiańszczyzny, której wszystkie drogi prowadzą w ostatecznym rezultacie z dawien dawna do Moskwy, a w ostatnich kilkunastu latach wybrukowane są nadto masonerją i bolszewizmem.

Tej wielkiej prawdy nikt należycie poinformowany o stanie rzeczy zaprzeczyć nie może. Zaprzeczyć jej może tylko powierzchowne reporterstwo, albo zła wola, albo wreszcie nieprzytomne — jak to mówią „zaplute" — partyjnictwo.

A jeżeli tak ostro występujemy przeciw czechofilstwu i wszelkiemu „słowianofilstwu", to nie tylko dlatego, że ułatwia-

ją one penetrację masonerji, światowego judaizmu i komunizmu, ale także i dlatego, że są w najgłębszych swych podstawach symptomem niewiary w moc samodzielnej Polski. Wszak najistotniejszą rysą — wprost przepaścią — dzielącą naród polski od wieków na dwa wrogie odłamy, które możemy nazwać najogólniejszemi imionami Naprawy z jednej, a Targowicy z drugiej strony, nie są wcale efemeryczne, stosunkowo powierzchowne różnice partyjno-polityczne, prorządowe lub opozycyjne, demokratyczne lub konserwatywne, legjonowe, czy antylegjonowe, gdyż wszystko to jest tylko falowaniem powierzchownych fluktów. Prawdziwą natomiast przepaść, której żadne kompromisy partyjne czy wyborcze nie będą w stanie nigdy wyrównać, jest wiara i niewiara w samodzielną moc państwa polskiego. Obóz owiany prastarą mentalnością Targowicy będzie zawsze tęsknić świadomie czy podświadomie do oparcia się o „słowiańską" Rosję, która niby ma być „gwarantką" niepodległości i bezpieczeństwa Polski przed światem germańskim. Ponieważ zaś w Rosji panuje narazie bolszewizm, więc „obóz Targowicy" czepia się innych Słowian, choćby wyraźnie wrogiego, a małego narodu czeskiego.

Przeciwny zaś obóz, a raczej przeciwna mentalność, wcale nie jest i nie potrzebuje być germanofilską, ani hitlerofilską, ale ma poprostu wiarę w samodzielną moc odrodzonej Polski i nie życzy sobie żadnego oparcia, ani o Rosję, ani o Niemcy lub Czechy. Z suwerennym gestem odnosi się nawet do zaprzyjaźnionej z nami Francji i potępia stanowczo upakarzającą dla Polaków lokajską rolę w Paryżu, którą obóz targowicki uważa za pryncypalną rację stanu naszej niepodległości.

Oto, co nas dzieli w najgłębszej istocie rzeczy od świadomej czy podświadomej mentalności chadecko-endeckiej. I najsmutniejszym w tem wszystkiem jest nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że owe targowickie, hałaśliwie patrjotnicze, a w gruncie rzeczy defetystyczne partje z pod ogólnego znaku Targowicy zagarnęły dla siebie wyznanie katolickie w Polsce. W konsekwencji po stronie Naprawy, a więc wiary w moc Polski i tężyzny narodowej, odczuwa się wyraźną niechęć katolickiego kleru — z pewnymi oczywiście wyjątkami — wobec czego brak tu niezbędnej misji apostolskiej i obce agentury podminowują państwo. A strona chadecko-endecka, jak się wyżej rzekło, z innych powodów również bardzo mizernie przeciwstawia się tym agenturom, a często nawet w upartem doktrynerstwie mimo woli je popiera.

W pośrodku między niemi stoi opoka Naszej Przyszłości z nieliczną sferą duchowo niezależnych ludzi, narażona ze wszech stron na grad kamieni i na perfidne trudności wszelkiego rodzaju rzucane jej pod nogi przez rodaków ku niezmiernej uciesze wszelakich wrogów Polski niepodległej i mocarstwowej.

Redakcja.

Po podróżach ministra Delbosa

Podróże ministra Delbosa miały efekt zewnętrzny ten sam, co każda podróż wysoko postawionego przedstawiciela danego kraju w czasach dzisiejszych, a więc ogłaszane w prasie całego świata, pełne patosu przemówienia podczas „dyplomatycznych" śniadań, czy obiadów, wydawanych na cześć gościa przez „gospodarzy" danego kraju, lub przez jego reprezentanta i pełne patosu odpowiedzi gościa, w danym wypadku — ministra Delbosa. Szablonowe, tak dobrze już znane ze wszystkich wizyt słowa o „niezmienności uczuć", o „nienaruszalności sojuszów", o „dalszej współpracy ku utrwaleniu światowego pokoju" (przy jednoczesnem dozbrajaniu się od stóp po zęby) — słowa, w których wartość mało kto dziś wogóle już wierzy, pokryły tanim efektem prawdziwy rezultat wizyty, który w rzeczywistości sprowadza się do „0"...

Minister Delbos mógł tylko w Czechosłowacji czuć się zadowolonym całkowicie z tego, co tam usłyszał. Kraj ten, stojący u progu politycznego bankructwa, kurczowo trzyma się swej protektorki Francji, nie mając dziś już innego wyjścia po poprzednich fałszywych pociągnięciach, rzucających Czechosłowację w ramiona Rosji Sowieckiej i Kominternu. Widok dzisiejszej, bolszewizującej się coraz bardziej z dnia na dzień Francji, nie odstrasza Czechów, tak, jak odstrasza innych sojuszników, bo zwycięstwo Kominternu w Europie, to byłaby jedyna zapewne dla Czechosłowacji możność uniknięcia podziału między „Białych" jej sąsiadów, ku którym ciążą różnoplemienne części składowe Czechosłowacji. Gdyby jednak w Europie zwyciężył ustrój komunistyczny, to sentymenty narodowe tych części składowych Czechosłowacji przestałyby grać rolę i Praga nadal mogłaby utrzymać nad niemi hegemonję w swych rękach, oczywiście jako państewko sfederowane w wielkiej europejskiej republice bolszewickiej, ciągnącej się od Uralu do... Madrytu.

W tego rodzaju „pan-Europie“ mamy dziś duży zastęp „demokratycznych“ synów republiki pp. Masaryka i Benesza, a niestety także i synów republiki francuskiej. W ostatnich latach dwa te kraje, odrębne od siebie pod względem cywilizacji i kultury, związały się nieomal węzłem małżeństwa, przy czem „kapłanem“, błogosławiącym ten związek, był bolszewicki dyktator, Stalin, dążący do zrealizowania planu wszechświatowej rewolucji.

Ponieważ jednak inne narody, wiedzione zdrowym instynktem, odgradzają się coraz bardziej od destrukcyjnych wpływów komunistycznych, więc nic innego nie pozostaje Francji, jak mocniej zacieśnić dotychczas łączące ją sojusze, uzupełniając je nowymi jeszcze partnerami, których dałoby się złowić na wędkę starego hasła...... „obrony demokracji“ przed wzmacniającym się coraz bardziej na świecie obozem „białych“, więc obozem „faszystowskim“.

Właściwym jednak tytułem, który powinien nosić zamierzony przez Francję blok „demokratyczny“ — powinien być tytuł „blok europejskiej awangardy bolszewizmu“, co ściśle odpowiadałoby prawdzie. Narazie jednak nazwa ta byłaby trochę krępująca dla głównych, projektowanych partnerów Francji w tym bloku, a więc dla Anglji i dla Stanów Zjednoczonych, choć już i tam sympatje w tym kierunku rozwijają się coraz bardziej. Narazie wogóle dla zamydlenia wszystkim oczu lansuje się po całym świecie, że ma to być blok „obrońców demokracji“ przed faszyzmem, hitleryzmem i wszelkim totalizmem... Szereg usłużnych dzienników wszystkich krajów „nie faszystowskich“ podchwytuje to oczywiście, ciskając gromy na nowe ustroje, które nie odpowiadają receptom demokratycznej wolności.... „złotej wolności!“

Do jakich jednak rezultatów doszła wolność w dzisiejszych demokracjach? Najjaskrawszym przykładem tego są Rosja Sowiecka i zbolszewizowany Meksyk — oba te kraje, które uważają się za „najdemokratyczniejsze z demokratycznych“. Nasi polscy zwolennicy demokracji, władzy ludu i frontów ludowych, zamykają oczy na te odstraszające dwa przykłady, bo... jeżeli Francja o wielkiej cywilizacji i kulturze stacza się po tej samej linji, to my, Polacy, którzy Francję we wszystkiem zawsze staraliśmy się naśladować, jakżebyśmy mogli być dziś inni, my „Francuzi północy?“...

To też po wizycie ministra Delbosa w Polsce znaczna część prasy polskiej a zwłaszcza warszawskiej, odezwała się pad adre-

sem Francji takim tonem, jaki przypominał oświadczenie przed laty jednego z obozów polskich, złożone cesarzowi Franciszkowi Józefowi „stoimy przy tobie, najjaśniejszy panie i stać chcemy.“ [1]). Bogu dzięki, nie był to ton, ani sfer oficjalnych, ani całego społeczeństwa polskiego, które coraz bardziej zdaje sobie sprawę, że dzisiejsza masońsko-żydowska i na pół zbolszewizowana Francja, Francja pp. Bluma, Jouhaux, Torrez'a, Cote'a, to nie dawna, tak bliska polskiemu sercu Francja cesarza Napoleona I-go, ani też nie Francja patrjotyczna z okresu wielkiej wojny.

Pan Delbos został w Polsce przyjęty przez nasze sfery oficjalne tak, aby odjechał bez urazy. Nie udało mu się jednak podobno osiągnąć tych wyników ze swej podróży do Warszawy, jakich dodatkowo się spodziewał...

Natomiast kłopotliwe chwile przeżył ten wysłannik Francji w innych krajach: w Rumunji i Jugosławji, gdyż tam manifestacje, a raczej demonstracje uliczne, urządzane na jego cześć w ciągu przejazdu, były jednocześnie połączone z demonstracją przeciwko... własnym rządom tych krajów. Okazało się później, że manifestująca w ten sposób część społeczeństwa, byli to nietylko opozycjoniści w stosunku do swego rządu, lecz równocześnie i zwolennicy idei wszechświatowego komunizmu. Z tem wszystkiem dość szczególnie kojarzył się fakt przyjazdu do Rumunji równocześnie prawie z p. Delbosem osławionego p. Titulescu, b. rumuńskiego ministra spraw zagranicznych, przebywającego oddawna poza granicami swojej ojczyzny, a znanego jako propagatora współpracy z Rosją Sowiecką. Zapewne też, gdyby nie energiczna decyzja króla Karola rumuńskiego, który, przewidując na co się w Rumunji zanosi, niebawem po wizycie ministra Delbosa oddał rządy w ręce premiera Gogi, nie będącego entuzjastą ustrojów „demokratycznych“, lecz raczej zwolennikiem faszyzmu i hitleryzmu, to najprawdopodobniej niedługo też po odjeździe dostojnego gościa zasiadłby znowu na swym fotelu ministralnym p. Titulescu, gorący przyjaciel „towarzysza“ Litwinowa — Finkensteina, a jeszcze w jakiś czas potem spuszczonoby z pałacu królewskiego sztandar narodowy.

---

[1]) W tym szczególe Szanowny Autor się myli. Ówczesne oświadczenie się galicyjskich Polaków z lojalnością wobec dynastji Habsburgów ocaliło Galicję od planowanej w Wiedniu ukrainizacji, czechizacji i germanizacji i oddało rządy przynajmnej jednej dzielnicy Polski niepodzielnie w ręce Polaków. Ta prawda powinna być dziś nareszcie powszechnie uznana. (Uw. Redakcji).

zastępując go czerwonym sztandarem z emblematami sierpa i młota....

Jeżeli się jednak to nie stało, natomiast p. Titulescu w pośpiechu musiał opuścić Rumunję, to za to sytuacja obecna zbliżyła Rumunję do Włoch i do Niemiec, oddalając ją (pomimo wszystkich oficjalnych zapewnień) od Francji i Czechosłowacji.

Tak więc wówczas, kiedy wizyta p. Delbosa w Polsce nie przyniosła jedynie tylko żadnych nowych dla Francji korzyści, to za to konsekwencją jego wizyty w Rumunji jest niewątpliwie osłabienie wpływów Francji w tym kraju. A Jugosławia? Jugosławja już dawno oświadczyła swoim partnerom z „Małej Ententy“, że na kompromisy i na zbliżenie z Rosją Sowiecką nie pójdzie. Po dojściu do porozumienia z Włochami, a będąc w drodze do porozumienia z Węgrami, uczciwa i zdrowa swym chłopskim, słowiańskim rozumem Jugosławja coraz niechętniej patrzy na te ewolucje, jakim obecnie ulega wczorajsza wielka jej protektorka, Francja i na to, co dzieje się u najprzewrotniejszych ze Słowian — u Czechów, rządzących się według wskazówek zagorzałego przyjaciela Rosji Sowieckiej, p. Benesza.

I tu więc wizyta p. Delbosa, poza tem, że usłyszał on znowu szablonowe i banalne zapewnienia, w rodzaju przytoczonych powyżej, nie przyniosła żadnego sukcesu, przyniosła raczej rozczarowanie.

W tej niepewności jutra wytęża teraz Francja swe siły, aby umocnić oś Paryż — Londyn przez dodatkowego partnera tego „bloku demokracji“ — przez Stany Zjednoczone. Na pierwszy rzut oka, blok ten przedstawia się imponująco i pod względem liczebnym ludności tych państw i pod względem ich możności finansowych. Ale kiedy w państwach znacznie uboższych, jak Włochy i Niemcy, ustrój totalistyczny potrafił wziąć w karby społeczeństwo i rozgrzać je uczuciem patrjotyzmu i karności, to w krajach „obrońców demokracji“ widzimy wręcz coś przeciwnego. Prasa całego świata w ostatnich czasach donosiła o skandalicznem rozpanoszeniu się bezpodstawnych strajków w całej Francji, rujnujących kraj i przemysł krajowy, o bezsilności francuskiego rządu, o rozwielmożnionym wpływie Moskwy w Paryżu.

A w Stanach Zjednoczonych? Oto jeden z „kwiatków“ z kraju p. Roosevelta, „czerwonego“ reformatora tej demokratycznej republiki:

„Nowy Jork 15 grudnia. Donoszą o nowym wypadku nie-

subordynacji na okręcie amerykańskim... Według tego opisu steroryzowała prawie bez wyjątku komunistyczna załoga kapitana i oficerów okrętowych zaraz po odpłynięciu z Nowego Jorku do Rotterdamu. W końcu kierownictwo okrętu przeszło praktycznie całkowicie w ręce zbuntowanych marynarzy i sterników, którzy pasażerów lżyli, grozili im, a kilkakrotnie nawet nie chcieli pracować. W pierwszych dniach podróży przywódcą zbuntowanych był kucharz, który natychmiast rozdał wódkę i upił załogę. Ta potem zupełnie jawnie lżyła kapitana".... (I. K. C., Nr. 348 z dnia 17.XII.37).

Jest to obrazek, zupełnie przypominający początki przewrotu bolszewickiego w Rosji dwadzieścia lat temu!

A teraz obrazek z nastrojów w Wielkiej Brytanji z tego samego mniej więcej czasu:

„Delegacje włościan złożyły szefowi prowincji Bihar petycję, pod którą widnieje przeszło 50.000 podpisów. W petycji tej są wyliczone żądania i pretensje włościan w stosunku do wielkich właścicieli ziemskich. O charakterze tej petycji świadczy sposób, w jaki została ona wręczona szefowi prowincji. Przywieziono ją na wozie, zaprzężonym w woły, eskortowanym przez delegacje, które niosły czerwone flagi, znaczone sierpem i młotem...." (P.A.T.).

Takie się dzieją już dziś rzeczy w prowincji Bihar w Indjach angielskich! Są to pierwsze pomniki bolszewickie. Co będzie się dziać tam jutro, jeżeli Anglja zacieśni swe stosunki z Francją, wchodząc do bloku państw „demokratycznych?".

O tem, jak na wskroś przeżartą jest przez komunizm republika Czechosłowacka, pisać tu nie będę, gdyż warto jest zająć się tem w specjalnym artykule ku wiadomości polskich amatorów „zbliżenia i porozumienia" z Czechosłowacją.

Tak więc wszystkie, wymienione powyżej państwa projektowanego bloku demokratycznego można już dziś bez przesady nazwać awangardą światowego komunizmu, o ile w państwach tych nie znajdą się w najbliższym czasie ludzie, którzy będą umieli złamać swą żelazną ręką to, co się tam dzieje ku radości Rosji Sowieckiej, tak, jak to umieli złamać w swoich krajach Mussolini i Hitler.

I podobnie, jak wymienione wyżej cztery państwa doszły do tego, czem są dziś, dzięki swoim sojuszom lub „zbliżeniom" z Rosją sowiecką, tak samo stoczą się do takiego rozkładu inne państwa, które swe zbliżenie i sojusze będą dziś zacieśniać z niemi. Bardzo też rozumnie postąpiły i Włochy i Niemcy, zry-

wając całkowicie swoje stosunki z Ligą Narodów, która w ostatnich latach stała się czemś w rodzaju ekspozytury polityki „towarzysza" Litwinowa-Finkensteina i innych żydo-masonów — stała się instytucją, mogącą przynosić *największe korzyści tylko polityce czerwonej Moskwy.*

Natomiast dowodem wielkiej krótkowzroczności jest otumanianie się dziś jeszcze hasłami rzekomych wolności demokratycznych i bezustanne deklamowanie wyrazu „demokracja" przez wszystkie przypadki w imię dawnych tradycji z ubiegłego stulecia, z epoki „wiosny ludów", która miała w sobie tyle idealizmu i romantyzmu.....

Ale dawni romantycy i czyści rycerze demokracji z 1848 roku dawno legli już w grobach, nie doczekawszy się urzeczywistnienia swych ideałów. Ci zaś, co te ideały urzeczywistnili w naszych czasach, doprowadzili zwycięską demokrację do etapu „najwyższego", jakim się stał bolszewizm w Rosji, na co się zanosi i w innych krajach demokratycznych, kroczących w te same ślady.

Natomiast ludzie tej miary, co Mussolini i Hitler, którym nie można chyba zarzucić, iż nie są „par excellence" synami ludu, złożyli już kult dla ustrojów demokratycznych do archiwum, jako już przebrzmiały i nieżyciowy dla państw, pragnących rozkwitu, a nie rozkładu. Dali oni natomiast swym narodom coś pokrewnego dążeniom demokratycznym, ale jakże bardziej zdrowego i życiowego. Zwłaszcza Mussolini, który nie zburzył nic ze starych tradycji świata przedwojennego królestwa Italji, jak to wszędzie radziby burzyć apostołowie demokracji, nie zburzył tronu swego króla, rozumiejąc dobrze, że *burzenie tronów i wprowadzanie na ich miejsce „najdemokratyczniejszych republikańskich ustrojów" idzie tylko na rękę mafji żydowsko-masońskiej.* Zachowując i uznając nadal majestat panującej narodowej dynastji, dał on jednak równocześnie swemu krajowi nowy ustrój, ustrój faszystowski, ustrój twórczy, a nie destruktywny. Jego faszyzm jest dalszym ciągiem i postępowym rozwojem dawnej cywilizacji, a nie jej przekreśleniem, jak to uczynili rosyjscy, bolszewiccy reformatorzy. Dlatego też w jego kraju i w krajach, które ten ustrój naśladują, panuje dziś ład, dyscyplina, entuzjazm mas i wzrastające z dnia na dzień poczucie swej mocy i wielkiej przyszłości, zaś w krajach, które wciąż jeszcze hołdują hasłom „złotej wolności", coraz bardziej ulega wszystko rozkładowi, coraz wyraźniej zarysowują się tam kontury młota i sierpa na tle czerwonego sztandaru, jak to ma obec-

nie miejsce we Francji, w Czechosłowacji, Anglji, Stanach Zjednoczonych i jeszcze innych krajach, *balansujących między barwą białą i czerwoną* i starających się w ten sposób utrzymać równowagę....

Zbyt długie jednak takie balansowanie jest o tyle niebezpiecznem, że w krajach wielkich swobód demokratycznych *czas pracuje tylko na korzyść bolszewizmu* i propagandy komunistycznej, która nie jest tak skrępowana w swej akcji ukrytej pod różnymi „demokratycznymi płaszczykami", jak w krajach o zdecydowanym programie antykomunistycznym, jakiemi są państwa t. zw. faszystowskie. Przykłady ostatnich czasów mówią same za siebie i ostrzegają....

Włodzimierz hr. Bem de Cosban.

DODATEK OD REDAKCJI.

Zamieściliśmy powyższy artykuł Autora, przebywającego stale w Budapeszcie, gdyż zawiera on doskonałą charakterystykę stosunków francusko-polskich pod pewnym kątem widzenia. Zgadzamy się też z Autorem całkowicie co do istotnej, rzeczywistej wartości — a raczej bezwartości — tego kolosalnego oszustwa bieżącego stulecia, które narzucone zostało szerokim masom ludności pod firmą „demokracji". Natomiast zastrzegamy się na wszelki wypadek — gdyby prasa lub opinja miały nas atakować — że jesteśmy zdecydowanymi przeciwnikami wszelkiego totalizmu, gdyż jest on, podobnie jak socjalizm, pewną formą niewoli społecznej. Specjalnie zaś dalecy jesteśmy od zalecania w polskich stosunkach jakiegokolwiek totalizmu jako lekarstwa na uzdrowienie naszego ustroju państwowego z demagogicznych absurdów wypaczonej idei demokratycznej, którą uszczęśliwiła świeżo wskrzeszoną Polskę zaraz po wojnie światowej t. zw. „zwycięska demokracja". Zdaniem naszem naprawa owych demokratycznych, a raczej demagogicznych błędów w Polsce winna iść drogą zdrowego rozsądku i rzeczowości, a nie sztucznymi eksperymentami etatystycznego totalizmu.

Rozumiemy więc, że Autor powyższego artykułu dlatego tylko podnosi zalety obcych ustrojów totalistycznych, aby tem lepiej uwypuklić absurda i oszustwa zakłamanej firmy demokratycznej, nie zaś aby zalecić Polsce uciekanie się do naśladownictwa wzorów faszystowskich, hitlerowskich i t. p.

Istota kwestji słowackiej

Niedawno zabrał głos w parlamencie praskim w imieniu Słowackiego stronnictwa ludowego ks. Hlinki poseł Sidor, naczelny redaktor „Słowaka" w Bratysławie, piętnując obłudną demokrację czeską, która dusi katolicyzm Słowaków, będący notabene wyznaniem ogromnej większości, bo osiemdziesięciu procent narodu słowackiego.

Na dowód swego twierdzenia przytoczył poseł Sidor także i ową osławioną rozprawę „sądową" z przed lat kilku nad byłym posłem prof. dr. Tuką, którego, zdaniem p. Sidora, postanowiła pewna czeska mafja — maskująca się obłudnie demokracją — poprostu usunąć, jako najbardziej zdolnego, a więc dla czeskiej sprawy niewygodnego człowieka. I usunęła go rzeczywiście przy pomocy fałszywie spreparowanego aktu oskarżenia i na podstawie również fałszywych zeznań wielce podejrzanych „świadków", dostarczonych aż z Wiednia na obstalunek Pragi.

Słusznie powiada przysłowie, że prawda w oczy kłuje — nic więc dziwnego, że po owym występie posła Sidora wybuchło w kryjówkach obłudnej czeskiej „demokracji" najpierw wielkie zamieszanie, potem krzyk, hałas, sztuczne oburzenie i bicie w stoły ze strony czeskich posłów, od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy. Nie zabrakło też „pełnych oburzenia" okrzyków pod adresem posła Sidora: „Hallo, hallo, tutaj mówi Budapeszt!"

Zaaranżowano na prędce także akcję protestacyjną, w rezultacie jednak nie udała z czeskiego punktu widzenia, gdyż przyczyniła się ona raczej do zdemaskowania dążeń Pragi, niż do wyrządzenia szkody sprawie słowackiej i posłowi Sidorowi.

Zabrał bowiem głos protestujący przeciw mowie Sidora jako pierwszy w imieniu czeskich narodowych socjalistów Bolesław Lukacz, słowacki pastor ewangelicki. Twierdził on, że Słowakom powodzi się dobrze pod czeskim panowaniem, przyczem

widocznie miał na myśli tylko niecałe dziesięć procent ludności słowackiej, przez Pragę właśnie z powodu niekatolickiego wyznania ostentacyjnie faworyzowanych. Nawiasem podkreślić tu należy, że taki pastor Lukacz występuje zagranicą zawsze i wszędzie jako Słowak, gdy natomiast w swym kraju jest zagorzałym Czechosłowakiem, a więc zwolennikiem czechizacji katolickiego narodu słowackiego.

Po nim zabrał głos „protestu“ sam minister sprawiedliwości — prawdziwej „sprawiedliwości czeskiej“ — dr. Derer, także słowacki „Czechosłowak“ i również ewangelik! Minister owej czeskiej sprawiedliwości przytoczył z ferworem rzekome przyznanie się do winy prof. Tuki przeciw wywodom posła Sidora. Ale oczywiście nikt nie miał możności bliższego zapoznana się z owym „dowodem“ czeskiego ministra, gdyż amnestjonowany teoretycznie swego czasu prof. dr. Tuka przebywa jednak nadal w celi więziennej w Pilżnie, na której drzwiach dla wszelkiej pewności znajduje się ostrzegawczy napis: „Obcym wstęp wzbroniony!“

Interesujący napis na celi więziennej, chyba nigdzie na świecie nie praktykowany...

W imieniu czeskich agrarjuszy „napiętnował“ mowę posła Sidora jako rzekomą zdradę stanu także słowacki „Czechosłowak“, poseł Lichner — również ewangelik.

Po nim imieniem czeskiej socjalnej demokracji wystąpił z potępieniem b. minister Iwan Markowcz, także „Czechosłowak“, a więc słowacki renegat i również ewangelik.

Komplet tych mów protestujących uzupełnili jeszcze słowaccy ewangelicy — pastor Deveczka i Stodola.

Brakło zaiste do całkowitego kompletu protestujących przeciw posłowi Sidorowi renegatów słowackich samego premjera d-ra Hodży, także ewangelika i syna pastora, który dla zamydlenia oczu nieświadomych istotnej sytuacji sfer zagranicznych występuje nieraz chętnie w masce Słowaka — gdy w rzeczywistości jest w polityce wewnętrznej praojcem „Czechosłowaczyzmu“—a więc gorliwszym czechizatorem od rdzennych Czechów.

Zresztą mogła Praga skorzystać z tej okazji, prawdziwie „protestanckiej“ i „protestacyjnej“, mobilizując do tej akcji jeszcze innych wybitnych renegatów słowackich, wszystkich wyznania ewangelickiego, a mianowicie:

1) posła czeskiego w Paryżu, dr-a Osusky'ego, z zawodu luterańskiego pastora,

2) posła w Warszawie, dr-a Sławika, syna pastora,

3) posła w Holandji, dr-a Krui,

4) posła w Stanach Zjednoczonych Hurbana.

Skoro już bowiem przeprowadziła Praga istną mobilizację w sejmie czeskim przeciw posłowi Sidorowi wśród ewangelików — renegatów słowackich, dopomagających rządowi czeskiemu do wynarodowienia Słowaków, to należało zmobilizować również i wyżej wymienionych „reprezentantów narodu słowackiego", aby akcja była zupełna! Jak już, to już — należało jeszcze lepiej otworzyć oczy wszelkim czynnikom w „imperjum" czechosłowackiem i zagranicą na rzeczywisty stan rzekomego „wyzwolenia" Słowaków!

Ale i bez tego udało się to Pradze dostatecznie. Akcja w Sejmie praskim przyczyniła się w każdym razie do tego, aby przynajmniej katolickie koła zagranicą przestały powtarzać za czesko-husycką propagandą — jak papugi — sprytne czeskie bajeczki o wyzwoleniu Słowaków z jarzma węgierskiego.

Życzymy więc Pradze z całego serca jeszcze więcej takich sukcesów, aby przez nie tak w kraju, jak i zagranicą coraz lepiej demaskowała się i kompromitowała ze swą antysłowacką i antykatolicką polityką — względem katolickiego narodu słowackiego tak celowo i systematycznie uprawianą. Zresztą wystarczy przypomnieć, że w t. zw. Deklaracji Marcińskiej, uchwalonej w Turczańskim św. Marcinie w 1918 r., na mocy której przydzielono Słowację bez plebiscytu Czechom, wśród 106-ciu deklarantów było około stu ewengelików słowackich! Dokonano więc wtedy perfidnego gwałtu na ogromnej większości katolickiego słowackiego narodu. Tę samą metodę zastosowała obecnie Praga w inscenizacji protestu przeciw posłowi Sidorowi. I to w imieniu.... demokracji! Osobliwa to demokracja, przy pomocy której dziesięć procent mniejszości ewengelickiej gwałci katolickich Słowaków! Taką demokrację mogłaby Praga zaiste opatentować w Lidze narodów!

Metoda ta winna przedewszystkiem otworzyć ostatecznie oczy tym Polakom, którzy w imię jakichś słowiańskich teorji łudzą się jeszcze co do istotnych zamiarów Pragi. Winien obecnie już chyba każdy Polak przejrzeć z powyższego, jak to Czesi przy pomocy nielicznej garstki słowackich ewangelików i renegatów, występujących wobec zagranicy bezczelnie w maskach

prawdziwych Słowaków, gnębią i niszczą katolicki naród słowacki nie tylko materjalnie, lecz i moralnie.

A zważyć przy tem i to jeszcze trzeba, że czechizowany perfidnie naród słowacki pod wpływem rozkładowego husytyzmu czeskiego łatwo może stać się żerem dla bolszewizmu i „korytarzem" czesko-rosyjskim. Kto więc wśród bezkrytycznych Polaków — na szczęście coraz mniej licznych — sympatyzuje z Czechami i opowiada się za hegemonją Czechów nad Słowacją, a więc i za hegemonją tamtejszego husytyzmu nad katolicyzmem słowackim, ten tem samem przyczynia się do wzmożenia niebezpieczeństwa, grożącego na serjo Polsce.

Franciszek Unger.

Powyższy artykuł możemy podpisać, jak to się mówi, obiema rękami. Możemy zaś uczynić to tem łatwiej, że obowiązujący do niedawna dogmat dyplomatyczny o nienaruszalności Małej Ententy wogóle, a Czechosłowacji w szczególności, przestaje być już dogmatem. Mała Ententa kruszy się wyraźnie, gdyż zahypnotyzowane dwadzieścia lat temu przez Pragę Rumunja i Jugosławja nie mają ochoty poddawać się w dalszym ciągu moskiewsko-praskim wpływom bolszewickim. Szukają słusznie sojuszów gdzie indziej, zbliżając się nawet do Węgier.

A w politycznej literaturze francuskiej, gdzie nienaruszalność sztucznego tworu czesko-słowackiego była dotąd jednym z niewzruszalnych pionów, zaczynają pojawiać się poważne rozprawy, poddające mocno w wątpliwość korzyść dla środkowej Europy istnienia tego czysto masońskiego tworu. Bo nie ulega żadnej kwestji, że absurdalne granice „Czechosłowacji" zakreśliła wszechmocna w okresie Traktatu Wersalskiego ręka masonerji.

Nasza Przyszłość — jak dobrze wiadomo — wyznaje inny dogmat: natychmiastowy zwrot Węgrom t. zw. Rusi Zakarpackiej, sprawiedliwy plebiscyt w Słowacji po uprzedniem oddaniu Węgrom czysto węgierskich jej południowych okręgów i zwrot Polsce zagrabionej perfidnie części Śląska cieszyńskiego.

I stanowczo twierdzimy, że wyjdzie to na korzyść także samego narodu czeskiego, któremu w przeciwnym razie poważne grozi niebezpieczeństwo. Nie wyjdzie na korzyść oczywiście tylko rządom masońskim, pod których okupacją, narzu-

coną ongiś z Paryża i innych wielkich ośrodków masonerji, znajduje się dotąd naród czeski.

Bo istotnie — nawet z czeskiego punktu widzenia — tylko wrogie Czechom obce agentury mogą pchać w zbrodniczo-szaleńczym porywie naród czeski w objęcia czerwonej Moskwy, która ma go rzekomo obronić przeciw Niemcom lub Polakom!

Redakcja.

Drogi zbliżenia polsko - białoruskiego[1])

Zbliżenie dwóch narodów, mające na celu owocną współpracę na wszystkich płaszczyznach życia, zawsze napotyka na wielkie trudności. Źródłem tego są przeważnie czynniki osobistej natury przywódców danych grup, ich różnorodne interesy. Grupy narodowościowe bowiem, jako szersza ludność. *w zasadzie przeważnie nie mają wobec siebie wrogich nastawień* i ciążą ku zbliżeniu i zgodnemu współżyciu.

Tem łatwiejszą winna być droga zbilżenia między jednym narodem a drugim, który stanowi tak zwaną mniejszość w łonie pierwszego.

Omówię tutaj drogi zbliżenia polsko-białoruskiego, które stało się i winno być zagadnieniem dnia — szczególnej wagi.

Wiele już pracowano w tym kierunku. Mamy tego przykłady historyczne z czasów Unji, zaboru rosyjskiego, z okresu wielkiej wojny i podczas trwania niepodległego bytu Polski. Ale niestety, wysiłki te dały znikome owoce, a nawet niekiedy, prowadzone nieumiejętnie i metodą, rzec można „osobistych interesów", szerzyły zamęt, wzniecały niezgodę i wrogość, a wreszcie uczucia separatyzmu.

A przecież *na współpracę i współżycie z Białorusinami Polska może liczyć*. Jak się już przekonała, mniejszość ta jest naogół spokojna i sprawiała Państwu najmniej ze wszystkich kłopotu i troski. Młode pokolenie Polski winno o tem pamiętać i wyciągnąć dłoń z zachęcającym gestem...

Kultura białoruska jest silna, lecz nie na tyle, by mogła zaszkodzić polskiej, syci się nią i nasila, ale i sama posiada pierwiastki i walory, których szkoda pominąć. W samym narodzie zaś, jako skupisku ludzkiem, też drzemią siły ukryte, *które można wykorzystać do wspólnych celów*.

Mądrze prowadzone współżycie i współpraca obu narodów

[1]) Streszczenie referatu wygłoszonego przez autora na jednym z ogólnych zebrań Konfederacji Młodych w Warszawie.

mogą przynieść wiele nieocenionych korzyści w przyszłości. Polska winna pamiętać o tem dziś, kiedy od wschodu i zachodu wyciągają się zachłanne ręce sąsiadów, drżące do grabieży i zniszczenia jej zdobyczy i niepodległego bytu, okupionego ofiarą krwi najserdeczniejszej, a przedewszystkiem zniszczenia jej kultury, tej najżywotniejszej siły każdego narodu i państwa.

Tylko w oparciu o szczersze, życzliwe i przyjazne narody można ustalić swe starania o utrzymanie niepodległości, gdy przyjdzie czas krwawej rozprawy.

Jakże więc łatwo wchłonięte być mogą narody mniejsze, do których, między innymi, należą i Białorusini! Ich szlachetni przywódcy zdają sobie z tego dokładnie sprawę i dlatego *pragną ubiedz niebezpieczeństwo.*

Konfederacja Młodych, jak wynika z jej statutu, ma na celu owo właśnie zjednoczenie, a więc ideę, której przyświeca zwarta, niepokonana moc *scalonych narodów*, przed którymi drżeć winni ci, którzy dziś, patrząc na tarcia wewnętrzne, ostrzą sobie apetyty na zagarnięcie ich ziem.

Nie trzeba obawiać się nacjonalizmu białoruskiego, gdyż ten jest spokojny; niema co także obawiać się kultury białoruskiej, gdyż nie wsączy ona pierwiastków rozprzężenia i destrukcji, trzeba — i to koniecznie — ofiarować Białorusinom ugodę celem zawarcia wiecznego przymierza w obliczu niebezpieczeństwa z zewnątrz.

Pamiętać trzeba o tem najwięcej, że daleko niebezpieczniejsze są obecnie, zagrażające drogę do zwartości i współpracy, wysiłki obcych agentur, szerzących komunizm.

Przewidująco obmyślane, pracujące precyzyjnie agentury te żerują głównie na słabym uświadomieniu szerokich mas ludowych. Obietnice, piękne obrazy dobrobytu, równość i braterstwo, swoboda i dopuszczenie do rządów samego ludu — oto ponęty, któremi usiłują zjednać masy dla swego programu. Oto krecia robota, nad którą trzeba czuwać.

Rząd Polski już zdobył na tyle doświadczenia i wie, że Białorusini są dlań elementem nietylko bezpiecznym, ale i *chętnym do współpracy*. I dlatego dziwię się niezmiernie metodom, stosowanym wobec kulturalnego ruchu Białorusinów, metodom przestarzałym... Dlaczego nie wolno im założyć w stolicy kulturalnej placówki, gdzieby jednocześnie, kultywując rodzime pierwiastki narodowe, pracowali nad zbliżeniem obu narodów? Dlaczego na Białorusi zostały przez władze wileńskie rozwiązane wszystkie organizacje, zamknięte wszystkie pisma, z któ-

rych przy życiu pozostało zaledwie kilka i też pogrzebywanych coraz częściejszemi konfiskatami, mimo, że mają charakter czysto literacko-gospodarczy? Dlaczego zamknięto wszystkie szkoły, które były otwarte po wojnie światowej?...

Tak postępować nie można! Złe to są metody! Nie osiągają istotnego celu. Grzebią piękną pracę przywódców obu narodów, których życiu przyświeca idea zjednoczenia. Odbiera się inteligentowi białoruskiemu tę jedyną strawę duchową w jego ojczystym języku, gasi się w nim życie duchowe wogóle. Nic też dziwnego, że metoda ta rodzi nienawiść do wszystkiego, co polskie, oddala, każe się zasklepiać i separować, budzi utajone tęsknoty do swego państwa. A w tem zjawisku psychologicznem tkwi wielkie niebezpieczeństwo polityczne.

Gdy zajdzie potrzeba, inteligent białoruski, aczkolwiek jest obywatelem polskim, niechętnie odda swój trud, nie zapali się do idei polskiej, nie poniesie ofiary w tym czasie koniecznej, lecz trzeba będzie go do tego zmusić, a wiemy z doświadczenia, jakie korzyści przynosi czyn wymuszony. Trzeba jednak o tem pamiętać, że Białorusinów w Polsce są 3 miljony. Przecież to armja, która w dziejach historji nieraz już odegrała wielką rolę, a jeszcze większą może odegrać w przyszłości!

Czyż odbierając prawo korzystania z rodzimej kultury, zmusi się tem samem Białorusinów do chłonięcia kultury polskiej? Bynajmniej! Powiedzieliśmy, że w ten sposób Białorusin znienawidzi wszystko, co polskie i *z konieczności wybierze drogę konspiracji.* A w takim nastroju, grunt dla posiewu idei wrogich, szerzonych przez obce agentury, jest niezmiernie przyjazny.

Idźmy więc z hasłem kompromisu, a napewno osiągniemy rezultat, jakiego nie spodziewamy się nawet. I budujmy Zespół Mocarstwowy, na który świat cały skieruje swój wzrok i liczyć się będzie, jak nigdy dotąd.

Piotr Łastówka.

Uwaga Redakcji.

Powyższy głos młodego publicysty białoruskiego zasługuje na baczną uwagę. Wiemy z kądinąd, że zapatrywania na kwestję białoruską są w Polsce najrozmaitsze. Są i takie, które istnienie narodu białoruskiego pragną wprost negować.

I to jest bardzo źle. W XX-ym wieku żaden naród zanegować się już nie da. A spodziewany w pewnej przyszłości rozwój

wydarzeń winien dyktować Polakom zjednanie sobie tej najspokojnieszej i najlojalniejszej „mniejszości narodowej" — o ile tak wogóle wyrażać się należy o pewnym odłamie narodowym w jakimś państwie — jaką stanowią bezsprzecznie Białorusini. Chronić ich trzeba zwłaszcza przed wszelką moskiewską zarazą i przed wpływami rozwydrzonego ukrainizmu.

Z drugiej jednak strony Szanowny Autor powyższego artykułu, jako Białorusin, z pewnością zbyt jednostronnie traktuje generalnem potępieniem pociągnięcia Władz polskich wśród społeczeństwa białoruskiego. Nie uwzględnia bowiem rzeczy również bezspornej, że także i wśród Białorusinów szerzą się prądy wywrotowe, że mnożą się w piśmie i akcji objawy, których Władze państwowe tolerować nie mogą. O tem nie wolno zapominać żadnemu przedstawicielowi jekiejkolwiek mniejszości narodowej występującemu w obronie swego narodu, a skarżącemu się z reguły zbyt jednostronnie na politykę władz polskich.

Wogóle, jako zwolennicy kierunku surowej, na objektywiźmie opartej autokrytyki w polskim narodzie, zalecić musimy podobny system autokrytyki także wszystkiem innem narodowościom w państwie polskiem. Śmiała autokrytyka i bezwzględne uznanie i wyznanie prawdy historycznej lub aktualnej przyniesie każdemu tylko pomyślne rezultaty. Wszelka zaś jednostronność, choćby dyktowana najbardziej patrjotycznemi pobudkami, jest stanowczo szkodliwą.

Fałszywy mesjanizm groźbą dla świata

Judaizm źródłem herezji, towarzystw tajnych i rewolucji.

Sami Żydzi, szukając wyjaśnienia i usprawiedliwienia swej specyficznej roli w świecie, przyznają chętnie, że noszą w sobie ducha rewolucyjnego. A jego rodowodu szukają aż w prawie Mojżeszowem, które ma rzekomo „uprawniać rewolucję" (H. Kohn. op. c. str. 52). To wszystko bowiem, co się w żydostwie dzieje i co stanowi znamię judaizmu, jest bardzo stare. „Od dwu tysięcy lat nie powstały w nim żadne nowe idee, ani też żadnej z dawnych nie zapomniano". Możemy powiedzieć, że judejczycy „niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli", jak mówi dawne, pełne przenikliwej prawdy przysłowie.

Nic więc dziwnego, że Bernard Lazare stwierdza z całą szczerością, iż „duch żydowski jest z natury swej rewolucyjny. Świadomie czy podświadomie Żyd jest zawsze z natury swej rewolucjonistą. Dlatego też bierze zawsze udział w rewolucjach i uczestniczy w nich tak, jak tylko Żyd potrafi, o ile jeszcze Żydem pozostał". (L'Antisémitisme. Paris. 1933).

„Izrael był w swem koczowniczem istnieniu żywym protestem przeciwko ustanowionemu porządkowi rzeczy, żywiołem niezniszczalnym, namiętnie przywiązanym do swego ideału i swych nadziei". (Baruch Hagani. Le Sionisme politique. Paris. 1917, str. 27).

Stąd łatwo zrozumieć, że „Żydzi witali z całem sercem wszelką zmianę, która następowała w życiu politycznem narodów". (Der Moment. 1928, Nr. 115. „My płyniemy przeciw prądowi").

„Duch buntu, właściwy judaizmowi, ma cechy czysto negatywne, pracuje wśród narodów nad rozkładem wszystkich form religijnych, politycznych i społecznych i dąży stale do ich zniszczenia przez swój egoistyczny instynkt samozachowawczy" — powiada J. Batault (Kwestja żydowska. str. 160).

Ten duch judaistyczny potrafji zachować swą odrębność pomimo wszelkich masek, jakie każe Żydowi włożyć jego metamorfizm polityczny.

„*Naogół Żydzi, nawet rewolucjoniści, zachowali ducha żydowskiego i nawet jeżeli wyrzekli się wszelkiej religji i wiary, to jednakże ulegli przez wychowanie i atawizm wpływowi nacjonalizmu żydowskiego.* Szczególnie trafnie stosuje się to do rewolucjonistów żydowskich, którzy żyli w pierwszej połowie XIX w., a których dobrym przykładem są Henryk Heine i Karol Marx...

„Ten ostatni, potomek szeregu rabinów i doktorów w piśmie, odziedziczył całą siłę logiki swych przodków. Był talmudystą przejrzystym i jasnym, któremu nie przeszkadzały puste drobiazgi praktyki i pozostał talmudystą, gdy zajął się socjologją i zastosował swe przyrodzone właściwości egzegety do krytyki ekonomji politycznej. Ożywiał go dawny materjalizm hebrajski, który karmił się wiecznie marzeniem o raju ziemskim i odczuwał wiecznie odległą i wątpliwą nadzieję edenu po śmierci. Był nietylko myślicielem, był również rewolucjonistą, czerpiącym swój sarkazm i inwektywy stąd, skąd go wziął Heine: ze źródeł żydowskich". (B. Lazare. L'Antisémitisme. str. 34).

„Inteligentów żydowskich oskarżono o to, że przyczynili się do upadku chrześcijaństwa i wynarodowienia społeczeństw współczesnych i może nie bez pewnej podstawy. Nie jest rzeczą przypadkową, że wielcy teoretycy i szerzyciele socjalizmu byli Żydami, że Karol Marx i Lassale byli Żydami" — powiada Baruch Hagani.

Żyd, judejczyk, nie chce czy nie może wyzbyć się stygmatu swej psychiki narodowej. „Nie zapomnijmy skąd pochodzimy!" — wołał w r. 1807 Lipman-Cerofer, przewodniczący zgromadzenia notablów, dając w ten sposób jakoby odpowiedź na słynne pytanie Napoleona: „Czy panowie chcecie być Żydami, czy obywatelami francuskimi?".

„Rozproszeni po całym świecie — stwierdził następnie Lipman — tworzymy jednak tylko jeden jedyny naród".

Juliusz Doinel, b. mason, konwertyta, ongiś członek Rady Wielkiego Wschodu, po swem nawróceniu w ogłoszonych rewelacjach trafnie stwierdził:

„Żydowska ruchliwość, żydowski podstęp, żydowska nienawiść. Ileż razy odczułem, jak wolnomularze jęczą pod jarz-

mem władzy, którą sprawują Żydzi nad lożami, filozoficznemi zrzeszeniami, zakonami, Wielkimi Wschodami, we wszystkich krajach, we wszystkich stopniach związku trójkąta, jak sami mówią, na całej powierzchni globu. Żydzi zawładnęli lożami od czasów rewolucji. Wdzierali się do nich stopniowo, ale skutecznie. Kabała była królową nauk w tajnych lożach. Żydowski duch panował w symbolicznych zgromadzeniach. Dla uczonych: Kabała, dla profanów: żydowski duch. Kabała dogmatyzuje, hoduje metafizykę, djaboliczną metafizykę. Żydowski duch kieruje wszelką akcją. A żydowski dogmat, jak i żydowski duch, teorja, jak też i praktyka, wszystko to skierowane jest przeciw katolickiemu, apostolskiemu i rzymskiemu kościołowi". (Gnose. Mensuel. III. 1910. str. 84. — Abbé Barbier op. cit. str. 122).

Na dnie całej spiskowej roboty judaistycznej tkwi niespokojne majeczenie mesjańskie, które tak wyraża Talmud:

„Syn Dawida (Mesjasz) nie przyjdzie wpierw, dopóki nie ustanie nawet najmniejsze panowanie nad Izraelem". (Sanhendrin, 98 a. Ks. dr. St. Trzeciak. „Program światowej polityki żydowskiej". W-wa. 1936, str. 51).

Ponieważ zaś rozprószenie żydowskie stwarza wciąż nowe okazje do gnębienia wybranego ludu, w rezultacie powstaje istny circulus vitiosus bezustannych odruchów buntu i rewolucji. Tragedja narodu, goniącego za swym Mesjaszem!...

Tak przecież Herzl, twórca sjonizmu, na kongresie w Bazylei powiedział:

„Macie wiedzieć, państwa i rządy, że ci żydowscy proletarjusze z proletarjuszy pod ciśnieniem życia muszą burzyć i niszczyć wszystko to, co wy budujecie. Ogień nienawiści, który płonie wśród nas, będzie jeszcze więcej buchał, dzięki nieludzkim cierpieniom narodu tułaczego, który nie zaznaje spokoju". (Hajnt. 1926, Nr. 151).

„Przeto na barykadach swoich i obcych walk — stoimy żywe pochodnie rewolucji. To twój ogień, płomienny krzu (który towarzyszyłeś rzeszy żydowskiej na pustyni w drodze z niewoli egipskiej do Ziemi obiecanej"), twój ogień podkładamy pod lamusy przeszłości, my, podpalacze starego ładu". (Nasz Przegląd. r. 1925, Nr. 98. Samuel Wagman. „Płomienny kierz").

Ten rozpęd rewolucyjny, doczepiony do dawnej, sprofanowanej i sfałszowanej idei mesjańskiej, stworzył właśnie *zagad-*

kową postać Żyda-rewolucjonisty, usiłującego w coraz to innym punkcie ziemi wywołać krwawy zamęt.

„Wszystkie idee międzynarodowe tracą swe znaczenie, jeśli przy nich zabraknie centralnej figury, Izraela, gniazda rewolucyjnego nowych ideałów społecznych!" (Dr. Sz. Eisensztadt. Die Neviim. Wilno 1926, str. V.).

Owo zacietrzewienie rewolucyjne, podniecane uczuciami nienawiści i zemsty, tak zapanowało w duszach żydowskich, że *przesłoniło ich odwieczny ideał religijny.*

Objektywnie ustala to Żabotyński, mówiąc: „Jedni z naszych badaczy twierdzą, że mamy misję religijną. Gdyby wypadło mi z nimi polemizować, tobym się ich zapytał, że jeżeli tak jest, iż naszem zadaniem jest rozpowszechniać monoteizm, to dlaczego właśnie żyjecie w krajach chrześcijańskich? Może chrześcijaństwo jest niezupełnym monoteizmem lub zbyt związane z symboliką, ale ostatecznie w dogmatach jest ono jednak wiarą w jednego Boga. Dlaczego nie jedziemy głosić monoteizmu do środkowej Afryki, gdzie niema nawet tego niezupełnego monoteizmu?"

„Inni znów z naszych erudytów twierdzą, że misją naszą jest specjalnie znieść niesprawiedliwość, bogactwo i nędzę, znieść wojny..."

„Chodzi jednak nie o treść misji, a o metodę... O ile ma się ideał religijny, to trzeba stworzyć społeczność, któraby była wcieleniem czystości religijnej, bezpośredniego, stałego kontaktu między Bogiem a człowiekiem. O ile ma się ideał socjalny, to tembardziej trzeba stworzyć taką własną społeczność, któraby była wcieleniem sprawiedliwości, równości i miłosierdzia..."

Trudno o przenikliwszą krytykę pozornych niekonsekwencji żydowskiej polityki od tego, co powiedział powyżej Włodzimierz Żabotyński. Postawił on wyraźnie przed oczy judaizmu dylemat: albo spełnić uczciwie swą misję religijną, czy społeczną, przez danie przykładu życia religijnego i stworzenie społeczności, sprawiedliwie zorganizowanej, albo *przestać mistyfikować świat swym rzekomym mistycyzmem mesjańskim.*

W istocie zaś rzeczy judaizm wykorzystuje pewne zewnętrzne elementy mistycyzmu mesjańskiego, odarłszy go całkowicie z religijnej treści, dla celów politycznych, wyrażających gruby egoizm narodowy, egoizm pasożytniczego ludu, który, doprowadziwszy do potwornego zwyrodnienia właściwą narodom wschodu tendencję eksploatacji człowieka przez człowieka

w drodze perfidnego odwrócenia winy, ciążącej na samym sobie, występuje w świecie pod hasłem walki z eksploatacją.

Karol Marx, *ubrawszy myślowo w prawa ludu wybranego klasę robotniczą*, i wyznaczywszy jej miejsce Nowego Izraela w przyszłym raju ziemskim, *dokonał jednej z najperfidniejszych transpozycji celu idealnego*, wysuwanego przez doktrynę metafizyczną o Królestwie Bożem, na gruby, historyczny materjalizm, głoszący o zwycięstwie proletarjatu nad swym wrogiem klasowym.

W rezultacie pod tą szatą ideologji klasowej i walki klas przemycił brutalne cele egoizmu judejskiego, dążącego właśnie do utrwalenia w świecie swej pozycji eksploatatorskiej.

Trudno w dziejach o bardziej pomysłowe oszustwo, które pod pozorami walki z niewolnictwem klasowym, prowadzi wprost całą ludzkość do zdecydowanej niewoli ciała i ducha, do takiego totalistycznego upodlenia, jakiego przykładu nie dają dzieje w najjaskrawszych nawet swych wzorach ustroju, panującego w Egipcie czy Babilonie, które, jak wiadomo, instytucję niewolnictwa doprowadziły do klasycznej doskonałości w kierunku uczynienia z człowieka „pracującej maszyny".

Oczywiście, tak głęboko sięgająca mistyfikacja musi wyrodzić cały system sprzecznych haseł i tendencji: z jednej strony ortodoksję — z drugiej ateizm, hipernacjonalizm — internacjonalizm, pacyfizm — bellicyzm i rewolucjonizm, kapitalizm — socjalizm, liberalizm — etatyzm, totalizm.

Ortodoksja religijna, nacjonalizm ultraeksklusywny, pacyfizm, są to wartości głęboko kultywowane we własnym narodzie; ateizm zaś, internacjonalizm i rewolucjonizm w narodach obcych „gojim", które przez wprowadzenie do ich życia tych rozkładowych pierwiastków chce się osłabić, aby je potem zniewolić.

Te sprzeczne apostazy judaizmu tworzą jedyną w swoim rodzaju treść psychiczną, której pomieszczenie w jednem sercu wydaje się prawie niemożliwe z punktu widzenia psychologji europejskiej.

Sekty wczesnochrześcijańskie.

Judaizm od pierwszych początków swego doktrynalnego sformułowania, opartego na fałszywej interpretacji religji Mojżeszowej, zaczął oddziaływać nietylko na życie swego narodu,

prowadząc go na manowce herezji, ale również na życie narodów sąsiednich.

Sekty faryzeuszów, saduceuszów, esseńczyków wytworzyły szkoły rabiniczne, które, dzięki kontaktom przez Greków z całym bliższym i dalszym wschodem, a zresztą i zachodem, wywierały ogromny wpływ na kształtowanie się owoczesnych pojęć filozoficznych i teologicznych. Materjalizm hebrajski, stanowiący praźródło tych szkół, a potem tak znakomicie odrodzony w doktrynie materjalizmu dziejowego, zaczął poważnie rozszerzać swój wpływ.

Sekty żydowskie, wykarmione na herezji judaistycznej, oczywiście musiały się znaleźć w opozycji z chrześcijaństwem. I walkę z niem prowadziły w sposób wprost bezlitosny, nie wahając się nawet fałszować mesjańskiego sensu jednego z najbardziej pod tym względem charakterystycznego Psalmu 109 (110). W końcu pierwszego wieku ery chrześcijańskiej Żydzi naraz przestali ten Psalm interpretować jako zapowiedź Mesjasza, Jezusa Chrystusa, a odnieśli go do postaci Abrahama, ewent. Dawida. Dopiero, kiedy nastąpiło ostateczne rozgraniczenie synagogi od Kościoła (Chrystus Pan przecież nauczał także w Świątyni Jerozolimskiej), powrócili judejczycy do pierwotnej mesjanicznej interpretacji wspomnianego psalmu.

Tę metodę przeinaczania, konspiracji i mistyfikacji można z powodzeniem odnaleźć w działalności różnych sekt wczesnochrześcijańskich, inspirowanych przez Żydów judejskich.

Do jednej z najwcześniejszych sekt, żerujących na chrześcijaństwie, podobnie jak dziś na socjalnych motywach chrześcijańskiej nauki pasożytuje sekta komunistyczna, należeli gnostycy, głoszący, że ludzie są niewolnikami demiurga, czyli budowniczego wszechświata. Wśród kierowników tej sekty, zresztą łatwy oddźwięk znajdującej wśród Greków, przechodzących już od dawna w swej filozofji na eklektycyzm, znajdujemy przedewszystkiem Żydów. W Palestynie i Syrji — Żyda Magnusa, w Aleksandrji żydowskich filozofów: Philona i Arystotelesa. Gnostycy dzielili się na grupy: Antitakci głosili kult ciała, Ophici czcili szatana pod postacią węża-kusiciela, Kainici wielbili Kaina oraz Dathana i Abirona, głosili też ewangelję, pochodzącą rzekomo od Judasza Iskarjoty. Pozatem, byli jeszcze korporacjoniści.

Czyż tych elementów bachicznych, a także djabolicznych nie znajdujemy po dwudziestu wiekach chociażby w niektó-

rych zjawiskach, które zaszły w Rosji po rewolucji, gdzie wielbiono Kaina i stawiano pomniki Iskarjocie?

W III w. po Chrystusie zaczyna swą działalność sekta Manichejczyków, założona przez Manesa, przez niektórych uważanego za Żyda, którym też najprawdopodobniej był, przez innych zaś poczytywanego za księcia asyryjskiego. W każdym bądź razie przeszedł on szkołę rabiniczną, co doskonale uwydatnia jego nauka, głosząca dualizm. Nazywał on siebie „synem wdowy", co zapewne oznaczało opustoszoną „chatę Dawida", stąd też mówiono o Mesjaszu jako o „synu upadłej" (— chaty Dawida). W ten sposób Manes dawał do zrozumienia, że był Mesjaszem; nie ulega zaś wątpliwości, że był fałszywym mesjaszem. *Jego wyznawcy mianowali się „dziećmi wdowy", która to nazwa, wskrzeszona bodaj przez „towarzyszów Jehudy", do dziś dnia służy na oznaczenie masonów.*

Inspiratorami Mahometa byli również rabini judejscy, gdy jednak Prorok „ich zdradził, uznawszy na równi Mojżesza i Jezusa, nie mówiąc zresztą o innych „zdradach" natury politycznej, poprzysięgli mu zemstę i zagładę jego sekcie. W tym celu w r. 872 Abdullah ibn Maymun, mahometanin, syn żydówki, zakłada sektę Bairmidów. Jeden zaś z jego potomków, niezadowolony z wyników walki z mahometanizmem, zakłada sektę Fatymidów. Następnie, na początku X wieku, powstaje sekta Karmatyków, którym udaje się nawet na blisko 100 lat opanować część Arabji z Mekką. Sekta, podobnie jak zeloci z czasów Bar-Kochby, lub późniejsi od niej Haszyszowcy, działała terrorem i głosiła jakiś pierwotny komunizm (m. in. wspólnota kobiet — wyznawali ją także gnostycy, korporacjoniści). Haszyszowcy rozpostarli się szeroko po całej Azji. Dopiero kres ich potędze położyły w XIII wieku hordy mongolskie.

Z tymi sekciarzami mieli okazję zetknąć się niewątpliwie krzyżowcy chrześcijańscy, śpieszący do Ziemi św. Wówczas to powstało bractwo świątyni Salamona, pierwsza w dzisiejszem tego słowa znaczeniu ezoteryczna organizacja mieszana judejsko-chrześcijańska, jak jest nią dzisiaj masonerja.

Bractwo świątyni Salomona cechował androgynizm religijno-filozoficzny oraz psychologja grupowa ubogich — wydziedziczonych, oczywiście nacechowana elementami buntu. W ten sposób „rękami chrześcijan, zbuntowanych przeciwko Chrystusowi, żydostwo pragnęło wstrząsnąć podwaliny Kościoła" — jak trafnie ocenia działalność tego pierwszego „masoń-

skiego zakonu" dr. M. Skrudlik (Przegląd Kat. 1937. I.VIII. w art. „*Kossak — Szczucka* o początkach masonerji").

W reformacji — nadzieja judaizmu.

Silna penetracja judaizmu, o której wynikach na wschodzie mówiliśmy tu w paru słowach, odbywała się również na zachód.

Podbój Hiszpanji przez Arabów stworzył swego rodzaju pomost dla przenikania żydowskiej ideologji do Europy, do czego zresztą przyczyniły się niemało i inne ośrodki skupienia żydowskiego — Rzymu, chrześcijaństwa stolicy, nie wyłączając.

Z pośród późniejszych mesjaszy - samozwańców sława takiego Sereny (717 — 20 r.) dociera aż do Hiszpanji. Smutny koniec Sereny, którego kalif Jezida wydał, po gruntownem skompromitowaniu przed sądem, samym „Żydom, by go ukarali" (Graetz. t. IV, str. 180), nie odstraszył bynajmniej żydostwa od poddania się sugestjom prowokatora, którym okazał się Abu-Isa (750 r.).

Był to chyba ostatni z false-mesjaszy wczesnego średniowiecza. Po tych niepowodzeniach żydostwo jakoby przycicha, wsiąka na wschodzie w pewnym stopniu w mahometanizm, jakkolwiek — jak to już zaznaczyliśmy — pojawiają się tam sekty o nastawieniu anty-islamicznym, a na zachodzie odbywa się pewnego rodzaju symbioza z chrześcijaństwem. Poczęści jest ona wywołana koniecznościami życiowemi, jakie po stopniowem usunięciu Arabów z Hiszpanji wynikają na tle postępu wpływów chrześcijańskich, poczęści wyrachowaniem, którego przykładem może służyć historja rodu Pier Leonich. Wnuk Piotra Leonis, neofity, został Papieżem i znany jest w historji Kościoła pod mianem Anakleta II (1130 — 1138), niestety pierwszego niechlubnej sławy antypapieża. O tym szczególe wolał pozornie przemilczeć „Nasz Przegląd" (Mateusz Miezes: Polacy chrześcijanie pochodzenia żydowskiego". 3.III.1937 r.). Podkreśla natomiast z emefazą, że: „dzierżył On władzę papieską w okresie, gdy tjara papieska rywalizowała z koroną cesarską". Prawdą jest, że mimo swego wysokiego stanowiska miał tenże następca św. Piotra gwoli swego pochodzenia — wielkie przykrości. Cesarz Lotar zwalczał go z uwagi na fizjonomję żydowską, a św. Bernard z Clairveaux narzekał: „Ut enim constat, Judaicam symbolem sedem Petri in Christi occupasse iniuriam". (Güde-

mann. Kulturgeschichte der Juden in Italien. II. 79). Wedle kroniki Oldenricha ożenił się król Roger sycylijski z siostrą papieża Anakleta, następstwem czego był cesarz Fryderyk z rodu Hohenstaufów — po kądzieli prawnuk Żyda, mieszkańca ghetta rzymskiego. Habsburgowie również wcześnie weszli w koligacje z potomkami Piotra Leona, neofity. Gdy syn cesarza Rudolfa I, Albrecht, starał się o koronę rzymską, powoływał się na swą prababkę Rzymiankę z domu Pierre Leone. Znany jest bon mot hrabiego Sternberga, który przed wojną światową w parlamencie austrjackim zadzierał z Habsburgami, że w jego żyłach płynie tylko jedna kropla krwi żydowskiej, a tę zawdzięcza swemu pokrewieństwu z Habsburgami. Ciekawą jest rzeczą, że Ferdynad Katolicki, który zaprowadził inkwizycję w Hiszpanji, miał prababkę, żydówkę Palomę z Tudeli. (Ciekawe dzieje antypapieża z rodu Leonich oświetla Gertruda Le Fort w swej powieści „Papież z Ghetta“).

To „epokowe“ panowanie pierwszego antypapieża, Żyda, zbiega się, dziwnem zrządzeniem okoliczności, z pierwszymi wyprawami krzyżowemi. Owe czasy charakteryzuje pojawienie się w Jemenie silnych ruchów mesjanicznych, skierowanych przeciwko muzułmanom, którzy znaleźli w ten sposób wspólnego wroga w chrześcijanach i judejczykach.

Skomplikowany splot sprzecznych tendencji, wśród których motywy nawskroś ziemskie grały oczywiście wielką, aż nazbyt wielką rolę, zwłaszcza gdy mowa o mesjanistach judejskich, nie mógł dać szczęśliwych wyników.

Reakcja antyżydowska, idąca przez Hiszpanję, a zresztą i przez pozostałą Europę — wystarczy tu wspomnieć o groźnym losie Żydów na szlakach, udających się do Palestyny krzyżowców — załamała judejską irrydentę, ale jednocześnie zmusiła żydostwo do skupienia się.

Całokształt rzeczywiście trudnej sytuacji żydostwa, przyciśniętego rozszerzającą się akcją antysemicką, stał się pobudką do nowych nadziei mesjanicznych. Żyd niemiecki Aszer Lämlein zaczął w Istrji zapowiadać przyjście Mesjasza na rok 1502. Z „matematyczną ścisłością“ przesunął jego zjawienie się na rok 1503 włoski prorok Izaak Abrabanel. W okolicy Herrery pojawiła się prorokini, maranka, opowiadająca o jakichś wizjach z Mojżeszem, jako figurą centralną.

Obserwując te nawroty mesjanicznej obsesji na tle prześladowań, podejmowanych przez ówczesnych antysemitów, możnaby powiedzieć, że potrzebne one były przywódcom narodu

żydowskiego do jego zgalwanizowania, do zdumpingowania swegu ludu, aby w momencie „uciśnienia wielkiego“ zwrócił się znów do swego odwiecznego ideału. Kto wie, czy umiejętnie stosowanemi sugestjami nie wpływali oni na ich wywołanie.

W tym czasie nowa nadzieja zaświeciła Żydom w związku z osobą Marcina Lutra, *niewątpliwie pozostającego pod poważnym wpływem lektury rabinicznej.*

„Według podania r. Naftali Triversa, mieszkańca Krakowa w początku XVI wieku, w ówczesnej stolicy Polski odżyły nadzieje mesjaniczne, zataczając coraz szersze kręgi. Objęły one także Żydów litewskich. Z licznych aktów owoczesnych wynika, że Żydzi poczęli sprzedawać swe domy, aby jechać do Palestyny. Wystąpienie Lutra szczególnie wielki oddźwięk wywołało wśród Żydów askenazyjskich, rozsianych w Niemczech, Włoszech i Polsce. Zbudziły się wówczas dawne marzenia i oczekiwania. Nadzieje, wiązane przez pewne koła żydowskie z wystąpieniem Lutra, miały swoje głębsze wyrachowanie. Fanatycznym kołom klerykalnym, które za pośrednictwem dworu papieskiego toczyły walkę z żydostwem, niejedną sprawiając im gorycz (wspomnijmy choćby spór dominikański, zręcznie zresztą przez Żydów przewlekany i wykorzystywany), dostarczono innego zajęcia, zmuszając je do walki z protestantami i innemi sektami, które chciały wyzwolić się z pod jarzma papistów. Musiały te koła zaprzestać prześladowania Żydów (sprawa lichwy, odrębności od chrześcijan, inkwizycji, maranizmu etc.). Nic dziwnego, że Żydzi na tle wystąpienia Lutra mieli powody snuć optymistyczne marzenia i nadzieje“ (Der Moment. 1928, Nr. 248).

Zwłaszcza zaś wystąpienie Lutra pięknie się sumowało z nowem proroctwem Salomona Molcho, mianującego się wysłannikiem słynnego szarlatana, „brata króla żydowskiego w Ruben“, Dawida Reubeni. Ów Salom Molcho stanowczo obwieścił przyjście Mesjasza na rok 1540 i zapowiedział, że kraje wszystkich narodów, czyli „Edom przypadnie w dziedzictwie Izraelowi“. (Nasz Przegląd. 1933.17.IX. „Bezdroża żydowskiego mesjanistycznego ruchu“).

Wystąpienie Lutra spotęgowalo niecierpliwość Żydów, zaczęli więc przyspieszać datę mesjańską na rok 1529, 1530, 1533, 1534.

Wreszcie nadszedł i rok 1540, według rachuby żydowskiej 5300, a więc rok przynajmniej jubileuszowy. Rok mesjański. Łatwo sobie wyobrazić rozczarowanie Żydów, gdy właśnie

w owym roku rzucił Luter swe słynne hasło: „Juda verrecke!" (Zczeźnij Żydzie!). Jak powiada Icchok Schipper „przeszedł Luter do obozu zdecydowanych antysemitów". I do tego wykazał fanatyzm antyjudaistyczny na skalę niebywałą:

„Pod ich bożnice i szkoły — woła Luter — należy podkładać ogień, a kto może, niech dodaje do niego smoły i siarki! Kto dorzuciłby do tego jeszcze piekielnego ognia, uczyniłby dobrze... Bogacą się naszym potem i krwawicą, my stajemy się coraz biedniejsi wskutek ich wyzysku. Wysysają nas jak pijawki, jak zmora leżą nam na piersiach te próżniacze szelmy i leniwce brzuchate, chleją i żrą i dobre czasy mają w naszym domu; zato bluźnią Panu Jezusowi, Kościołom, książętom i nam wszystkim grożą i życzą śmierci i wszelkiego nieszczęścia". Tak nawoływał Luter, który powiedział również, że rewolucja to pijany chłop, którego co się podsadzi z jednej strony siodła, to na drugą spada.

A jednak i ten, tak zaciekły antysemityzm Lutra, usiłuje wyjaśnić historyk żydowski, Graetz, stwierdzając, że odwrócenie się Mistrza Marcina i protestantów od żydostwa *należy tłomaczyć koniecznością zatarcia śladów judaistycznego pochodzenia i zainspirowania protestantyzmu.*

Illuminiści — ojcami rewolucji.

W historji nowoczesnej Europy można wyróżnić kilka epok wielkich wstrząsów, które w dziwny sposób wiązały się z mesjańskiemi nadziejami judejczyków. Okres wędrówki ludów, wymierzonej swym głównym ostrzem w znienawidzony przez Żydów Rzym (Edom). Okres wojen krzyżowych, będących powrotną falą w kierunku Małej Azji a mających na celu odzyskanie Ziemi św. dla chrześcijan, to prawda — ale też i dla Żydów. Dalej okres reformacji, nabrzmiały wszelakiego rodzaju rewolucyjnymi ruchami, teologicznymi i społecznymi.

W żadnym z tych okresów nadzieje judejczyków nie spełniły się. Mesjasz nie przyszedł, czyli nie nastały takie zmiany w strukturze europejskiej i w położeniu europejskich Żydów, by można je uważać za dopełnienie warunku, iż odjęte zostało ucisnienie wszelkie od narodu wybranego, ale i zbłąkanego na manowce herezji.

Przewodnicy Izraela nie zrażają się tem niepowodzeniem, przeciwnie, szukają coraz to subtelniejszych środków, by przygotować grunt dla światowego panowania mesjańskiego.

W alchemjach kabalistycznej myśli produkują nowe koncepcje, zdolne istotnie wstrząsnąć światem w powszechnej rewolucji i uniwersalnym krwi przelewie.

Za czasów słynnego Sabataja Cwi, który w Turcji usiłował tworzyć jakiś żydo-mahometanizm i uzasadniał to tem, że „jak pierwszy zbawca Mojżesz musiał jakiś czas bawić na dworze Faraona w pozornej postaci Egipcjanina, tak samo ostatni zbawiciel musiał zostać Turkiem", oraz wtajemniczonego w Turcji Jakóba Lejbowicza Franka, który tworzyć począł jakiś judeo-polonizm w analogicznym, konspiracyjnym celu, raz jeszcze sformułowany został bez żadnej już żenady rewolucyjny program judejczyków:

— *„Musi być krwi przelewanie na świecie i podczas tego zamieszania odbierzemy zgubę naszą, za którą się teraz uganiamy. Podobnież, gdy woda mętna, wtenczas dobrze ryby łowić. To też, gdy się świat krwią zaleje, będziemy mogli ułowić rzecz, która do nas należy".* (Aleksander Kraushar. Frank i frankiści polscy. T. II. str. 122. Z Księgi Słów, 56).

Program ten wcielany był w życie systematycznie przez przygotowywanie gruntu do przewrotów.

Czyż nie zdumiewa nas dziwny zbieg okoliczności, że wystąpienie na widownię nowego mesjasza, wspomnianego Sabataja Cwi, nastąpiło w r. 1648, w okresie buntu Chmielnickiego i wojny trzydziestoletniej?

Czasy zaś Franka, późniejszego szpiega na usługach carycy Katarzyny, czyż nie zbiegają się z pierwszym rozbiorem Polski!

Można powiedzieć, że pojawieniu się każdego mesjasza towarzyszy zamęt i zawierucha wojenna, jako niezbędne tło dla uzasadnienia jego misji i jako w niejednym wypadku efekt podziemnej pracy jego i jego sztabu.

Nie zdziwimy się więc, jeśli w słynnym cyklu rewolucyjnym z końca XVIII wieku odnajdziemy również rękę żydowską. Rozwijające się m. w. od 1717 r. w nowoczesnej formie, zwanej masonerią, stowarzyszenia tajne, które po templariuszach i różokrzyżowcach odziedziczyły pradawny przekaz i nakaz konspiracji judejskiej, dochodzą do takich wpływów, że mogą znów pozwolić na rozpętanie burzy dziejowej.

Znany pisarz żydowski Bernard Lazare podkreśla związek Cazotte'a, Cagliostra (żyda), Martineza, Saint Martina (żyda),

hr. de Saint-Germain, Eckarthausena z encyklopedystami i jakobinami i zaznacza, że „Żydzi byli dobrymi agentami tajnych stowarzyszeń, ponieważ doktryny tych stowarzyszeń zgadzały się z ich własnymi doktrynami" (Kabała). L'antisémitisme. Paris. 1934, t. II. str. 196).

Te koła różokrzyżowców, alchemików i illuminatów niewątpliwie były infiltrowane przez Żydów i to takich, którzy się potem wybitnie zaznaczyli w rewolucji 1792 r.

Wystarczy tu wspomnieć Marata, ochrzczonego coprawda Żyda, po którym jednak woda Chrztu św. spłynęła bez żadnego śladu. „Wśród skrajnych lewicowych rewolucjonistów było już podówczas niemało Żydów. Prawą ręką samego Marata był młody żyd, Ferejera, towarzyszący stale swemu mistrzowi". (Hajnt. 1926, Nr. 77).

Ten Marat, a właściwie Mara, napisał w r. 1774 po angielsku dzieło p t. „Więzy niewoli", przepojone rewolucyjnymi tendencjami, zionące nienawiścią do tronu i ołtarza. Stało się ono w lat kilkadziesiąt potem ulubioną lekturą Karola Karksa.

Rewolucja francuska była więc przedewszystkiem benefisem judaizmu. Nie zdziwimy się zatem słowom nieprzytomnego wprost zachwytu, jakie pod adresem jej daty wypowiedział Max Nordau:

„21 września 1792 r. jest datą najświetniejszej chwały w dziejach ludzkości. Cóż z nią porównać? Czy dzień Maratonu, który uratował grecką cywilizację od perskiego barbarzyństwa? Czy dzień pod Zamą, w którym Scipio zdruzgotał i złamał pełen najlepszych obietnic semityzm w osobie Hannibala i zakuł szyję świata w żelazne dyby rzymskości? Czy piątek, w którym Chrystus poniósł śmierć na krzyżu? Jakże to małe i znikome wydarzenia wobec ogromu czynu rewolucji! Maraton, Zama sprowadzały mizerne przesunięcia potęg świata. Straszny dzień Golgoty stworzył przed oczyma małej mniejszości, reprezentującej jedną trzecią ludzkości, nową wiarę, czy raczej nowy zabobon. 21 września 1792 zrodził zaś wolność".

„Przyszła rewolucja francuska i krępowany duch narodu żydowskiego zrzucił z siebie więzy dwóch tysięcy lat i zerwał się do nowego lotu". (Nasz Przegląd. 1924, Nr. 92.).

„Wyzwolenie Żydów w XIX w. było wprost owocem rewolucji francuskiej. Tymi samymi bagnetami, które rozniosły ściany Bastylji, rozbito również mury ghetta. Wielka armja (napoleońska) w Moguncji czy Kolonji i w całych Niem-

czech wogóle rozwaliła ghetto i uwolniła Żydów z wiekowej niewoli. Armja rewolucyjna".

Ta sama armja rewolucyjna atakuje najpierw katolickie Włochy, potem uderza na Egipt, który stanowił zawsze klucz do Palestyny, jak o tem pouczają losy trzeciej wyprawy krzyżowej. Czyż to Leibnitz nie dedykował Ludwikowi XIV rozprawy, w której nęcił Francję korzyścią opanowania Egiptu? Myśl tę zrealizować próbował Napoleon pod wpływem Talleyranda, masona (podobnie zresztą, jak Leibnitz) i do tego opłacanego przez dom Rotschildów.

W tej płaszczyźnie biorąc rzeczy, rozumiemy teraz plany masońskie, związane z obsadzeniem tronu polskiego przez Sasów — przez Augusta Mocnego, który wsławił się zwycięstwami nad Turczynem. Hasło „pognębienie Mahometa", pod którego władzą znajdowała się Palestyna, dyktowało lożom najrozmaitsze posunięcia, niezwykle nieraz skomplikowane.

Ale wróćmy do historji rewolucji XVIII i XIX wieku. Czyż to nie Żyd, Chaim Salomon, sfinansował rewolucję amerykańską przeciwko Anglii w r. 1798? A niewdzięczny New-York nie zechciał mu w r. 1927 wystawić pomnik dziękczynny!

A r. 1830, który „przyniósł nowe polepszenie doli Żydów", jak powiada Graetz?

„Poczynając od r. 1830 Żydzi wykazują więcej gorliwości, niż w pierwszym okresie rewolucji. Byli w niej zresztą bezpośrednio zainteresowani, gdyż w większości państw europejskich nie korzystali jeszcze z pełni swych praw. Ci z pośród nich, którzy nie byli rewolucjonistami przez wyrozumowanie i temperament, byli nimi z wyrachowania. Pracując dla zwycięstwa liberalizmu, pracowali dla siebie. Nie ma wątpliwości, że swojem złotem, energią, talentem podtrzymywali i wsparli rewolucję europejską. W tych latach ich bankierzy, przemysłowcy, poeci, pisarze, mówcy, kierowani zresztą różnymi poglądami, dążyli do tego samego celu". (Bernard Lazare. L'Antisémitisme. Str. 341).

Komunizm — ostatnią stawką judaizmu.

Ostatnią kreacją judaizmu, stworzoną dla podboju świata, jest komunizm. Nosi on w sobie wszystkie elementy talmudycznego żydowskiego ducha, z jego skłonnością do mistyfikacji, konspiracji, ekskluzywizmu i rewolucjonizmu.

Komunizm, to nie tylko doktryna socjalna i ekonomiczna, to światopogląd filozoficzny i religia.

Nic więc dziwnego, że ustosunkowuje się on wrogo do innych światopoglądów i religji.

Przedewszystkiem zaś komunistyczny materjalizm przeciwstawia się chrześcijańskiemu spirytualizmowi. Co więcej, wypowiada mu kategoryczną walkę.

Podstawowym celem tej walki jest zniszczenie chrześcijaństwa.

Przy takiej tendencji nie może już dziwić fakt, że komuniści podchwycili dawno obalone pseudonaukowe tezy, mitologizujące początki chrześcijaństwa, głoszące, że Chrystus nie jest postacią historyczną.

Pionierem tej bredni był Drews. Twierdzenia jego przejął komunizm i rozwinął w pismach szeregu swych przedstawicieli. Na ich czoło wysuwa się Rumiancew, autor studjum „Dochristjanskij Christos" (r. 1924).

Interesujące to zagadnienie rozwoju antychrześcijańskiej doktryny w komunizmie przedstawił wyczerpująco prof. Eugeniusz Dąbrowski w odczycie „Komunizm u podstawy chrześcijaństwa".

Stanowisko, przyjęte przez Rumiancewa, stało się obowiązujące dla całej „teologji" bolszewickiej.

Wyrazem tego będzie wydany w r. 1933 „Podręcznik antyreligijny", który „ponad wszelką wątpliwość" stwierdza niehistoryczność postaci Chrystusa.

Wśród przesłanek tej mitologizacji Chrystusa znajdujemy wszystkie stare błędy i fałsze, tylekroć już obalane. Do nich przedewszystkiem zaliczyć należy kłamliwe twierdzenie o braku pozachrześcijańskich źródeł dla historji Jezusa. Gdzież się podziały — zapytać trzeba— teksty Józefa Flawjusza, Tacyta, Swetoniusza, Pliniusza Młodszego? — Zostały sfałszowane w III czy IV wieku przez chrześcijan.

Oto, jak sowiecka nauka z kompletną nonszalancją przechodzi do porządku dziennego nad wynikami badań, które dawno już rozprawiły się z tego rodzaju niepoważnymi zarzutami amatorów-egzezetów w rodzaju profesora politechniki Drewsa, czy kontynuatora jego fantazji Paul Couchouda, którego „Tajemnicę Jezusa" tłumaczył u nas Litauer, „nagrodzony" za to przez polskie sądy rokiem więzienia.

Ich wartość oceniono już dawno ujemnie. Jan Weiss po-

wiada, że „nędzna produkcja Drewsa" przynosi wstyd nauce, a Harnack nazywa go „ein unberufener Dilettant"

To uporczywe powtarzanie naukowych bredni tem bardziej dziwi u bolszewików, że przecież wydają się oni znać i inne źródła. Świadczy o tem artykuł w piśmie „Ateist" pt. „Józef Flawiusz o Jezusie i Janie Chrzcicielu".

To wszystko nic nie znaczy. Obowiązującym tonem dla bolszewika przy wymawianiu imienia Chrystusa jest całkowita negacja.

Stąd zrodził się ten cykl pseudorewelacji naukowych, jak Amosowa „Skazka o Christie", Kandidowa „Legenda o Christie" (1934). Streszczeniem ich stanowiska jest „Biblja bezbożnika". Krótko i węzłowato uważa ona ewengelje za broszury propagandowe. Wybrano je spośród wielu innych, a było ich 54 i uznano za autentyczne na soborze nicejskim 364 r. (błąd, winno być 325). Dlaczego cztery? No, bo są cztery wiatry, cztery kierunki świata, cztery chóry Cherubinów.

Nie są też owe ewangelje dziełem pióra autentycznych świadków, lecz owocem przekazywanej przez 150 lat tradycji, którą wreszcie uznano za wskazane spisać. Należy wobec tego przypomnieć, że ich kanoniczne teksty powstały już przed 70 rokiem naszej ery, co zresztą potwierdzają nowe odkrycia fragmentów czwartej ewangelji.

Jakżeż można mówić o tej kwestji, nie znając lub przemilczając świadectwa historyczne, jak katalog Muratori (II wiek), głos św. Justyna, który nazywa Ewangelje apomnemoneumata, czy świadectwo św. Ireneusza.

Ale bolszewicy wydają się raz źle poinformowani, to znów tendencyjni. Dowód, że przecież mają tłumaczenie dzieła Robertsona (z r. 1903) „Christianity and Mythology". Osoba Chrystusa i zagadnienie tej historyczności nie wyczerpują oczywiście całej kwestji stosunku komunizmu do chrześcijaństwa.

Całokształt tego stosunku rozwija się w dwu kierunkach: 1) wyprowadzenie chrześcijaństwa z ruchów socjalnych swego czasu, 2) uznania go za nauralny rozwój judaizmu plus ewentualnie hellenizm.

Zainteresowanie początkami chrześcijaństwa miało oczywiście na widoku ustalenie podstaw nauki Marxa, możliwie w najgłębszej starożytności.

Cel ten przyświecał Kautskiemu, gdy publikował w r. 1908 swe „Entstehung des Christentums".

Wskazuje on na proletariat palestyński i rzymski, jako środowisko genetyczne chrześcijaństwa. Zeloci i esseńczycy znad Morza Martwego dali zręby nowego ruchu socjalnego, emancypacyjnego.

Kautsky, pomimo tego racjonalizowania, powiada jednak, że jakiekolwiekby zająć stanowisko wobec chrześcijaństwa, to trzeba w nim uznać gigantyczny fenomen. Nie brak mu też podziwu dla Kościoła, który wciąż trwa pełen siły.

W Chrystusie widzi Kautsky postać historyczną. Uważa go jednak za jakiegoś rewolucyjnego pretendenta.

Można by powiedzieć stylem bolszewickim, że na tych koncepcjach Kautskiego, przedstawiciela II międzynarodówki, zaciążyły wpływy burżuazyjne Momsena, Friedlaendera, E. Mayera.

Odmienne stanowisko zajął Engels w swym dziele „Pierwotne chrześcijaństwo".

Przedewszystkiem Chrystusa ogłasza za postać niehistoryczną. Chrześcijaństwo nie jest wogóle tworem jednostki, lecz socjalnego środowiska. Przyczyn jego powstania należy się dopatrywać w hegemonji żydów nad narodami bliskiego wschodu. W celu wzmocnienia żydoskiej diaspory, której więź z macierzą stawała się coraz słabsza, powstała wśród licznych sekt żydowskich, jedna, która uczyniła z ducha poniżenia i niewolniczej uległości program życia i działania. W ten sposób powstała nowa religja, judaizm diaspory, łączący cechy mesjaniczne z nacjonalizmem. Z czasem do judejskiego monoteizmu doszły elementy inne, gnostycyzm, który rozwinął się w dogmatykę katolicką. Co za bogata fantazja? I pocóż rozwijać całą tę fantasmagorję? Poto, żeby udowodnić, że Chrystus nie istniał. Czy to nie trudniej, niż uznać jego historyczność?

A jednak właśnie odwrotną drogę obrali sobie autorowie encyklopedji sowieckiej w liczbie bodaj 10, zajmujący się zagadnieniami religijnymi. Wśród nich znaleźli sę m. n. Łukaczewski, Preobrażeński, Rumiancew.

W chrystjanizmie dopatrują się oni wyłącznie naturalnego rozwoju judaizmu. Czemuż się nie pofatygowali, by zapoznać się z opinją w tej materji Salvadora, Graetza, Geigera, Friedländera i innych?

Niestety nie zajrzał do nich bodaj Ursynowicz, autor „Proizhożdienja christjanstwa".

Brak w tych wszystkich elukubracjach — mówił prof. E. Dąbrowski — właściwej perspektywy historycznej, rozróż-

nienia właściwego charakteru Królestwa Bożego, w ujęciu judaistycznem, będącego pojęciem nacjonalistycznem i materjalistycznem, w ujęciu chrześcijańskiem — uniwersalnego i spirytualistycznego.

Lecz właśnie w tem pomieszaniu perspektyw odnaleźć możemy nowy dowód perfidji judejskiej, tej straszliwej przewrotności, która nawet ukrzyżowanego przez nią Mesjasza chce zdyskontować dla swoich światowładczych celów.

Józef St. Czarnecki.

Druk. „LECH“, Warszawa, Koszykowa 33.